KLUB NOWYH LUDZI

# GWAŁTU... REWOLUCJA!

GDYNIA

Cena 1,80 zł.

Składy głuwne:

1) GEBETHNER i WOLFF, Warszawa, ul. Zgoda 12.
2) „DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ“ Sp. Akc., Warszawa, Plac Tszeh Kszyży 9.
3) „RUH“ Polskie T-wo Księgarni Kol., Warszawa, Al. Ierozolimskie 63.
4) „CZYTAJCIE“ Spułka Kolportażowa Wydawn. Warszawa, Krak. Pszedm. 60
5) „Klub Nowyh Ludzi“ Gdynia, ul. Portowa, dom własny.

KLUB NOWYH LUDZI

# GWAŁTU... REWOLUCJA!

GDYNIA

Cena 1,80 zł.

**Składy gluwne:**

1) GEBETHNER i WOLFF, Warszawa, ul. Zgoda 12.
2) „DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ" Sp. Akc., Warszawa, Plac Tszeh Kszyży 9.
3) „RUH" Polskie T-wo Księgarni Kol., Warszawa, Al. Ierozolimskie 63.
4) „CZYTAJCIE" Spułka Kolportażowa Wydawn. Warszawa, Krak. Pszedm. 60
5) „Klub Nowyh Ludzi" Gdynia, ul. Portowa, dom własny.

## Spis żeczy.

# GWAŁTU... REWOLUCJA!

Wżasną:

— Gwaltu-u-u... rewolucja!... ten gdyński warjat bolszewizuie iuż ięzyk. wypacza źrudłosłowy. szkaradzi mowę ojczystą. iamie tradycję. gubi narud. Polskę... Gdzie prokurator?!... hej, prokurator! prokurato-o-or!!!

Na to spokojnie człowiek. ktury zgżeszyl:

— Hola dziadulkowie: momencik rozwagi, szczypta dobrej woli a może obejdzie się tu bez prokuratora. Poco do sądu? sami mnie sądźcie, pszysięgam. nic nie zataię. Sumienie moie obciąża znacznie większa wina. niż zdrada mowy ojcuw naszyh. W całej sromocie pokutniczej skruchy, biiąc się w piersi, wyznaię otwarcie że sam nie rozumiem. iak mię dotyhczas ta polska ziemia święta nosić wśrud was mogła i nie zdziwię się wcale. ieśli mię ona wyżuci z grobu kiedyś krukom i szakałom.

Sądźcie ojcowie: czyżto nie wstyd. nie hańba. nie zbrodnia względem najukohańszej matki — ojczyzny, by całe życie żreć iej hleb. za iej skarby pić, spać. nic nie robić, hulać a gdy tszeba gębę w iej czystej mowie otwożyć czy kilka słuw w tymże piśmie skreślić — powieście mnie — ia tego nie umiem.

Gożej!... słuhajcie: wlokąc ucieszaie za sobą dla pustej bezmyślnej zabawy swuj czwarty kszyżyk, teraz dopiero ocknąłem się. spostszegłszy że to iuż bliżej mi niż dalej do miejsca wszystkih kszyżuw — straszną więc świętokradzką wyklętą była ma zabawa. Drgnąłem na myśl samą że ta matuś-ziemia. hoćby i hciała. nie pozna niewdzięcznego syna — nie znam jej mowy! A ieśli — myślę — pszyjmie mnie nawet, to nie inaczej iak zupełnie obcego, iak iakiegoś włuczęgę — zimno niehętnie — iak się na nocleg pszestępcę pszyjmuie lub do obory cudze zabłąkane oślę. Takto w gżehu poczęty, gżehem pszeciw swej matce ży-

ıący, wzgardzam nadto gżesznie prasłowiańskim łonem ziemi — żywicielki i idąc, iak głupie oślę, śladem Świętyh Pańskih, skręciłem via Żym do nieba.

Lecz znuw obawa — co tam będę robił?... wszak nawet swego ıęzyka nie znam dostatecznie a wszyscy Święci muwią po łacinie...

Taka moia dola! Niedarmo, widać, nazywano mnie w szkole klapouhym osłem, na oślih ławah miewałem stale legowisko i do dziś, powiedzcie, z oślej karjery nie posuwam się hoćby o iedną literę... ujżycie — nie zostanę nawet magistrackim posłem. W niebie zaś, wiecie — św. Piotr nie głupi — daj mu takiego... zaraz naoklep weźmie do galopu, bo pono od dzieciństwa ieździ on tylko na osłah i oślicah.

Nie było innej rady — tszeba stać się „gramotnym" i tyle! Tszeba coprędzej poprawiać błąd lekkomyślnie gżesznie straconej młodości. Na starość lat moih zawzięcie biorę się więc do nauki. Oczywiście biegnę najpierw do Ministerstwa Oświaty po radę, z iakiego podręcznika mam się uczyć poprawnie muwić i pisać po polsku. Po dobryh kilku godzinah prawdziwego polonezu /nie każdy departament obowiązany iest znać gramatyki szkolne/ właściwy wydział zaleca mi Szobera i tylko onego Szobera. „Inne nieważne" — zakonkludował stary bity w polonistyce wyga, bo nawet pszymrużaiąc oczy napamięć wiedział, ile wydań i egzemplaży ten Szober zdołał iuż wetknąć wszystkim szkołom, naturalnie pszy „łaskawej" aprobacie tegoż ministerjalnego kustosza pedantycznej nieskazitelności mowy polskiej.

Iako że hcę być loialny żądowi, kupiłem i ia użędowo zalecanego Szobera lecz widząc, iak on tam niemiłosiernie kaleczy i hehle w formie i w myśli tę nic mu niewinną czystą duszę naszą — kropnąłem go „pod koło" aż wdzięczna ziemia Leha iękła i żywiąc słuszny żal do Ministerstwa Oświecenia Publicznego /zaświeć mu, Panie, wiekuiście i to iaknajryhłej/ rozgoryczony udałem się po radę lecz iuż do znanyh gwiazd tak poczytnej obecnie najnowszej literatury naszej. Długo musiałem iść, bo gwiazdy, iak wiecie, same w sobie i dla siebie tam wysoko w guże na firmamencie są pszeolbżymimi kolosami, tylko nam tu takim oto ledwie pełzaiącym ślimakom niesłusznie wydaią się małymi świecącymi guzikami, znacznie pszytym mniej-

szymi od najmniejszej figi. Po długih ciężkih mozołah pszez najserdeczniejszyh pszyiaciuł stale podsadzamy, dotarłem wreszcie do iednej takiej figi, /pszyświeca całej „Italji" oczywiście tej na Nowym Świecie w Warszawie/ a padłszy plackiem w hołdzie onemu ciału niebieskiemu, żebżącym głosem błagam ie iak w modlitwie: „Gwiazdo słoniowa, naczynie Dawidowe, drapaczu hmur zloty, powiedz, iak się mam nauczyć muwić i pisać po polsku.

— Nic łatwiejszego — uroczyście odżecze mi ona iasność niebieska. — Weź sobie zwieczora łosia do łużka a rano będziesz mądry iak cała Akademja.

— Kopnie... ubodzie... — zaoponowałem niedowieżaiąco — możeby raczej iaką młodą łośkę?.

— Skoro wszyscy biorą starego łosia, ty nie możesz brać młodej łośki.. stałbyś się śmiesznym, niepoważnym.

Wziąłem tedy pod kołdrę, iak mi doradzono, onego starego łosia, pszytuliłem do siebie, by czuł moią pszyiaźń a on iuż na wstępie nuż mi porykiwać:

**— Ym — em, ymi — emi, ge — gie, ke — kie...**

Sądząc że może ze starości zasłabł trochę na niestrawność w stolcu, zacząłem mu bżuh rozcierać lecz on ięczał dalej:

**— aj — ej, a — o, ą — on, ą — om...**

Nie mogłem poiąć tej łosiowej mowy aż nareszcie, ku uciesze moiej, wyraźnie usłyszałem czyste dźwięki ludzkie:

**— e — ę, e — ą, ą — e...** — naturalnie zaraz pośpiesznie podałem mu naczynko. okazało się iednak że tu znuw łoś mnie nie rozumie i... nic nie wyszło.

Zafrasowani spojżeliśmy wzaiemnie ieden na drugiego iak cymbał w durnia ale łoś. nie kapituluiąc, rozwinął dalszą inicjatywę. Widząc że nic nie wyhodzi. podniusł w gurę swuj znacznie większy od końskiego łeb, otwożył skszywioną gębę, iakby hciał ieszcze mocniej stęknąć a może pragnął tylko pohwalić się że bywał i na rykowiskah w Grecji, bo głośno zaczął ięczeć coś po grecku. Tego miałem iuż dosyć — nie będę pszecież u djabła specjalnie dla romansu z łosiem uczył się od początku greki. o kturej nie mam żadnego poięcia.

Ad rem:

Podzielaiąc najświeższe głosy prasy odnośnie pszeoświeconego Szobera, wziąłem do ręki ostatnie wydanie Łosia p. t. „Zasady ortografji polskiej i słownik ortograficzny według zasad Polskiej Akademji Umiejętności". Pomiiaiąc iuż w samym tytule tak zasadniczego dzieła one „zasady zasad", /masło maślane/ hcę być objektywnym i one „zasady", dotyczące hoćby najczęściej używanyh:

H — CH oraz Ż — RZ,

pszytaczam dosłownym pszedrukiem. Może się one komu pszydadzą — ia nie mam swej głowy „do wynaięcia" pod muzealny labirynt ružnyh logicznyh. nielogicznyh i filologicznyh rekorduw mnemoniki bądź ięzykowej akrobatyki.

*str. 23*

„Zresztą zasada. że h nie pisze się w wyrazach rodzimego pochodzenia, niewielkie ma dla nas znaczenie praktyczne, gdyż:

1) niezawsze łatwo się domyśleć. jakiego wyraz jest pochodzenia. i

2) w wyrazach obcego pochodzenia pisze się rozmaicie: w jednych h. w innych ch np. historja. chimera. Abraham. Joachim.

Wobec tego jedynym skutecznym środkiem przestrzegania tutaj zwyczaju ortograficznego jest wprawa. przyzwyczajenie: ogólniejsze wskazówki mogą być tylko cząstkowe i niedostateczne.

W wyrazach wątpliwych trzeba się poradzić **słownika ortograficznego.**

*str. 27*

RZ

Otóż jeżeli pozostawimy na stronie wyrazy złożone, to rz piszemy po spółgłoskach dźwięcznych: b (brzeg, Zabrze, Chrzobrz), d (drzewo, Andrzej, w biodrze), g (grzech, Zegrze, ale gżegżółka, piegża): także po spółgłoskach bezdźwięcznych, gdzie może się mieszać z sz: a więc po ch (chrzan, wichrzyć, ale w stopniu wyższym przymiotników: suchszy), po k (krzesło, skrzele, pokrzywa, ale kształt, kszyk (ptak), bukszpan, Sukszta i inne nazwy litewskie, także większy, miększy i inne podobne formy oraz pochodne np. (większość), po p (przy, pieprz, ale pszczoła,

pszenica, pszonak, Pszonka, Pszczyna a także: lepszy, głupszy), po t (trzy, patrz. ale: krótszy) i t. p. i t. p.

Po samogłosce bardzo często; tu już sprawdzianem może być tylko albo wymiana rz : r, ż : g lub z. albo też **słownik ortograficzny.**

## Pisanie łączne lub rozłączne

czyli

gorzkie żale szkolne i wesołe hop—sa—sa całej Akademji.

*str. 47—48-- 49.*

wlot — w cwał
wkółko — w krąg
wskok — w lewo
wtył — w głąb
zpowrotem — z kretesem
zprzeciwka — z poza
zprzodu — z pod
zczasem — z inąd
zkońca — z kopyta
zapomocą — byle jako
zewszechmiar — w miarę
zgrubsza — z czeska
zamłodu — za młodo

nagwałt — w mig
napół — pół na pół
napróżno — na pewno
napoprzek — na czas
nawylot — na wyprzodki (?)
nakoniec — w ogólności
nasamprzód — sam na sam
tento — mimo to
coniemiara — byle co
wporę — za wiele
wpośród — w pośrodku
nieinaczej — nie nadarmo
zagranicę — za drogo.

Dwaj znani poloniści /wyższe studja/ specjalnie zaszli do mnie, usiłując odradzić mi zastosowanie w II tomie uproszczonej pisowni.

Poszliśmy na kompromis. Ustanowiliśmy zaklad: ieżeli obaj napiszą bez błędu /w/g prof. Łosia/ podyktowane im z powyższyh 10 wyrazuw — utszymuię starą pisownię. Niestety, każdy z nih zrobił tylko po 8 błęduw /sic!/.

Zakład wygrałem a pszegrani bez dalszej dyskusji postanowili swe wydawnictwa drukować odtąd też w moiej uproszczonej pisowni.

Ieżeli błazeństwem byłoby obalanie pszezemnie naukowyh wywoduw Polskiej Ak. Um., to większym błazeństwem obywatela iest tszymanie się, iak żep ogona, profesorskih monstrualnyh reguł, upstszonyh mnustwem odhyleń oraz niezliczoną ilo-

ścią wyiątkuw, kturyh żaden polonista nie wyliczy bez słownika bądź źrudeł i to źrudeł, znanyh zaledwie nielicznym badaczom. Wniosek — nikt nie zna dostatecznie polskiego ięzyka. Pszykrą iest żeczą dla 99% obywateli ta niemal powszehna w kraiu podświadomość niedostatecznej znaiomości rodzimej mowy i pisowni. trudno zaś z drugiej strony wymagać, by wszyscy poświęcali się wyłącznie polonistyce. Absurdalnym szaleństwem ruwnież nazwę wbiianie w głowę ucznia zawiłyh idjotyzmuw ięzykowyh, skoro wkońcu całkowite opanowanie tyhże może być i dla profesora — specjalisty nieosiągalne. Dziecko pszez szereg lat traci tysiące godzin, by wreszcie w myśl dyrektyw prof. Łosia nosiło z sobą całe tomy słownikuw ortograficznyh a iako ih porusnawcze uzupełnienia winno zabierać i greckie, łacińskie, może są i lesbijskie — kto wie?

Zostawmy dociekania naukowe ludziom wiedzy specjalnej, zaś drogi czas nasz zużywajmy praktyczniej, by Nowy Człowiek nie zdyhał nam z głodu, bo cuż z tego że będzie on znał nawet Reiowską pisownię z Nagłowic, ieśli nie będzie wiedział co pisać. Następnie wyobraźmy sobie ceniącego czas swuj cudzoziemca, ktury w celah handlowyh, turystycznyh, matrymonialnyh /będą i tacy/ zehciałby posiąść poprawną polszczyznę. Wścieknie się raczej, niż tego cudu dokona a Polskę, polakuw i ih dziwolągi pokoha iak Hannibal Romę.

Reasumuiąc powyższe, czyż potszebuie obrony uproszczona pisownia Klubu Nowyh Ludzi, kturej cała rewolucja w wieku sterylizacji polega na zawieszeniu w użędowaniu względnie na tak modnej i aktualnej redukcji kilku anahronizmuw, kturym się pełna emerytura dawno iuż należy — mianowicie:

**ch — ó — rz**

zwłaszcza że puki ieszcze iesteśmy zdrowi na ciele i na umyśle a więc do działań prawnyh zdolni, powinniśmy to dobrane trio, iak klejnoty po Borucie czy iak kołtun tak długo honoris causa pielęgnowany, zasejfować w arhiwah naszej Almae Matris.

Nieuiażmione dotąd — j — bieżemy ostro w cugle, pisząc ie tam tylko, gdzie — i — krutko iest wymawiane oraz po spułgłoskah, kturyh nie należy zmiękczać np.: najliczniejszy zjazd ziemian: decyzja, decyzji, decyzje, decyzyj.

Poważne „y“ bądź delikatne „i“ bieże za tważ wesoły nażędnik iak oto: dobrym dzieckiem, wysokimi gurami.

Pszecinek z powodzeniem często zastąpić mogą spujniki oraz rozłączniki, poco więc znęcać się nad poczciwym zecerem?

Nowego Człowieka poznacie odtąd po nowej czystej odinsektowanej pisowni.

# DO BALETU!

Kto nie lubi baletu? ia bardzo, szaleię wprost za nim. Iak Abdul Hamid — sułtan, rozparłszy się w pułmrocznyh łożah bądź w kszesłah pierwszego żędu aż mię rozpiera, aż mię coś podnosi, gdy widzę tańczącyh tysiąc pięknyh dziewczat. Gdy w takt porywczyh tonuw skocznej kawalerji rusza do ataku to anielskie wojsko i podniesionymi okrąglusimi nużkami, zda się że leci prosto, prosto na mnie — powiadam wam — mdleię.

Udeża mię w głowę fala krwi kipiącej, pobudza szałem namiętności zmysły, wizje rozkoszy zapalaią żądzę, pierś rwie się napszud, wyciągam ręce i... drugi raz mdleię.

Niemasz iak balet — mażenie moih snuw i dążeń. O, iakbym hętnie wstąpil do baletu, obym hoć kiedy statystował pszy nim... lecz cuż?... tszeba być pięknym utalentowanym. Niestety. Iak zla macoha natura, tak hojna rozdawczyni piękna i talentuw wszystkim swym kohankom, nie lubi mnie pasierba i hoćbym nawet poraz tszeci zemdlal — nie trafię do baletu.

Boleiąc sam nad sobą, dziwię się tym wszystkim, ktuży w balecie mogliby w snopy wiązać niezawodne laury a tymczasem iak zbolałe dusze, bezmyślnie cisną się do publicznej pokutniczej służby. Znoszą pszykrości, głud, upokożenia, w gęby im pluią, one zaś wciąż dalej w ofiarnej pokoże trą się o swą uwłosioną dolę i gdyby nie błogosławione redukcje, etatowo bolałyby może aż do niepszytomnej śmierci. Biedne te dusze: żeby ie pszekonały moie harakiri, dałbym krew, kiszki i życie. Niehby olśniły balet, balet, ktury tak namiętnie koham: niehby coprędzej poszły do baletu.

Ot w Gdyni np. bardzo zazdroszczę pewnemu profesorowi pewnej szkoły wyższej, ktury na każdym niemal dancingu tańczy iak cudowna lalka. Publiczność szczodże wali mu brawa, na-

trętne tancerki biią się o niego lecz on. miast bisować całą dobę zżędu, zapala swoią profesorską fajkę i śpiesznie leci na iakieś tam... prelekcje. Wszyscy wiedzą że taki as kawiarń i kabaretuw źle się czuć musi w profesorskiej todze. Wypuszczaiąc z rąk pulhne kształty niewieścih naddatkuw. pszykro mu oczywiście patszeć puźniej na kanciasto — eskimoskie tważe i miast miłyh słuw rozkosznej danserki, sluhać niedokutyh pszez tępyh uczniakuw repetycyj z angielskiej czy innej morskiej horoby. Zdruw iak byk profesor prałby wuwczas po pysku takiego iołopa. nierozumieiącego nawet wyraźnie po polsku zapytania „per bydlę".

Tak nadszarpuiąc „w... szkole" swe cenne zdrowie z tymi „bydlakami". nic dziwnego że nasz prelegent dostałby był wkońcu rozstroiu nerwowego i nie daj Boże. mugłby był się żucić na bruk z czwartego piętra, na szczęście iednak wszystkie kursy Państwowej Szkoły Morskiej, nie tyle w podziwie dancingowyh sukcesuw swego wyhowawcy. ile w uznaniu dla iego krasomuwstwa. hurmem ogłosily głoduwkę.

— Może prędzej wyzdyhaią — ucieszył się profesor lecz i tu radość iego była krutkotrwałą. Czerwony bunt w zarodku został stłumiony pszez karną ekspedycję nadzorczego hanatu. Specjalna ad hoc komisja. wyposażona dla tej egzekucji w dostateczną ilość stryczkuw i harapuw. nie pozwoliła nikomu odrazu z głodu zdehnąć lecz na prubę tylko wydaliła z uczelni 13-tu „bolszewikuw".

Tak został uratowany prestiż luminaża iedynej w Państwie Szkoły Morskiej. 13-tu niedoszłyh wilkuw morskih wzięto iak kundli — szczeniakuw za mordy i po fahowemu z wilczym biletem wywalono na pysk.

Słusznie, tam na ulicy nieh robią bolszewję — nie tu w... szkole!

W... szkole!

Myliłby się każdy. żaluiąc że tylko w Gdyni mogą się tak marnować fortancersko-baletowe talenty. Wielka stolica Warszawa aż promienieie tymiż talentami, aż łuna biie od niej w nocy i niewątpliwie biłaby też w dzień. gdyby owe gwiazdy reprezentacyjnego baletu tańczyły a nie zamykały się. djabeł wie poco... w gabinetah.

Niedawno czytaliśmy że w czasie ostatniej wojny teatralno-magistrackiej, do gabinetu iednej z takih gwiazd brutalnie werwał się iakiś artysta i wcale nieartystycznie najordynarniej zażądał:

— Daj... — powiada.

— Nie dam — odżecze mocno widocznie zmęczona iuż piękność.

— Daj... bo ia cię tu zaraz... ty taka a owaka...

... i dała.

Zaspokoiony gość wziął swuj parasol z kąta, zrobił wdzięczny wyraz tważy i wyszedł... a pszecież gdyby owa baletnica, nie obiiaiąc się po gabinetah, tańczyła na swoiej estradzie — może nie byłby splamiony fotel vice-prezydenta stołecznego m. Warszawy.

Ieżeli Gdynia i Warszawa maią tak pierwszożędny materjał do baletu, czego należałoby się spodziewać w takim np. New-Yorku, ktury pozwala sobie angażować Kiepuruw, Paderewskih, Stykuw? Co powiedzieć o tamtejszym balecie? Raj nie balet.

I też rzecz dziwna — daleko mu do zenituw.

Dlaczego?

Weźmy do ręki numer iakiegokolwiek ilustrowanego czasopisma a wśrud prima-primissima baleryn ujżymy i naszego pszepięknego rodaka p. Tytusa lecz znuw — me miserum, miast w krutkih rużowyh pantalonikah bądź w pszezroczystej koszulce — w pierogu dyplomatycznym. Co za tragedja nieubłaganego pszeznaczenia!

Pszeglądam oto tak świetne wydawnictwa iak „Światowid", „Raz—Dwa—Tszy", „Kino" i t. p. W iednym z nih cała pierwsza strona biie wdziękami zaoceanicznej hluby naszej. Złoto kapie z niej, iak z galowego munduru ruskiego cara Mikoły, figurka pierwszej klasy a tważyczka... Boże muj, ta tważyczka! Cały portret kolorowy: nie wyobrażacie sobie tważyczki tej.. w kolorah. Urok — powiadam wam — urok! Alabastrowo czyste piękne, bez iednej bruzdki, wprost iak z porcelany... czoło, krucze brwi, miły długi powiesisty nosek, drgaiące hrapki, udatnie à la Batycka spomadkowane usteczka, w kącikach... czai się /musi się czaić/ stały miły uśmieh, podobny do wiecznego śmieszka w dołku, u okrągłej pannicy, na brodzie: rużowy owal policzek

lekko zmatowany dziewiczym puszkiem delikatnego pudru — cudo nie głuwka!

I powiedzcie — piękno to tak opacznie kiśnie w dyplomatycznej galarecie.

— Dla kogo? — pytam — dla Boraha? Toż takiemu pszyiacielowi powinniśmy pszeciwstawić iako naszego reprezentanta pierwszego z bżegu... wiecie iuż? Mało ih czy co? Straci tylko mistsz Macieiewski a ile zyska Państwo: amerykańsko-polski aljans polityczny. oszczędność 100 zł. z tytułu niewypłaconej za wisielca premji i co najważniejsza — że banalnie marnieiącą, mało powiedzieć tu, gwiazdę — całą Wielką Niedźwiedzicę uroku i sławy, kożystniej moglibyśmy ulokować, tak dla nas iak i dla niej, hoćby w tymże New-Yorku.

Szkoda, aby tak pięknie na kolorowo zareklamowana w prasie sława nasza musiała się pospolitować z takim oto senatorem Borahem, kturego, słuhajcie, pszedstawił iej... dopiero... p. Laval!

A więc ambasador nasz uważa za wskazaną demonstrację swej kinowej fotogeniczności po rużnyh pismah, w rodzaiu „Raz—Dwa—Tszy“ czy innego „Ram—ta—ra—ra“, nie uważał natomiast za konieczne poinformować we właściwym czasie swuj żąd i społeczeństwo o pszygotowywanym pszez nadministra Spraw Zagranicznyh Stanuw Zjednoczonyh zamahu na integralność naszego Pomoża. Skandal!

Boski Tytusie — do baletu!

# ZUPA RAKOWA.

W nadraniu wshodzącego słońca, radosnym hejnałem „Świat... nasz!" budząc ze snu Pszepiękną Krulewnę berła i korony Hrobryh, Śmiałyh, Iagiełłuw, Wielką Spadkobierczynię dzielnej buławy Piłsudskih — Nową Polskę — drgnęliśmy z pszerażenia nagle.

Oto nie w złudnym śnie a w strasznej żeczywistości na śnieżno-białyh dziewiczyh piersiah Ukohanej Pani, iasno iak na tarczy, ujżeliśmy dwa ogromne żywcem wżeraiące się iuż w gangrenę brudne czarne raki.

Zamarliśmy...

z zdrętwiałyh rąk wypadły nam złote fanfary, surmy, harfy.

Wierni berłu i buławie trubadorowie udeżyliśmy w dzwon, w największy dzwon, w Zygmuntuw dzwon...

całym sercem...

o pomoc, o ratunek, o życie Najiaśniejszej Pani.

Dalekosiężny zew wrucił ehem Wilna, Warszawy, Lwowa, Poznania i wszystkih innyh groduw-miast.

Wszędy zerwała się tłumnie zbrojna w halabardy czujna młudź lehicka

iak ieden mąż,

iak ieden legjon...

iak walny wiekopomnie bohaterski legjon 1919 roku —

nie dziw... ktuż bardziej koha Ideał Iutra, Wiohnę Piękna, Boginię Serc —

Polskę!

Maratońskim biegiem ruszył huf za hufem.

Ujżawszy cierpiące Swoie Ukohanie, rycerska młodzież zębami za żądła, za iadowite kleszcze hwyciła żywe skorpjony i w zębah wyniosła te gady na stos zemsty świętej.

— Upiec na powolnym ogniu! — domagali się iedni.

— Żywcem ugotować! — żądali inni.

Zupę zrobić, taką pszypaloną zupę, by od iej swędu ginął każdy gad — skorupiak.

— Zupę! zupę!!! — zgodzono się wreszcie.

Żywym ieszcze rakom, pszez skręcenie pyskuw, wyrwano bebehy i dawaj ważyć... zupę!

Słysząc miły wyraz...

„zupa",

łakome dwożany, senat akademicki i inne stare służki, zdradnie pożuciwszy otwarte rany Krulewny Bolesnej, cwałem pobiegły do wżącego garnka.

— Smarkacze! — fuknęli hurem zadyszani. — Co za igraszki macie tutaj z ogniem? Spalicie sobie majtki; iskry wiatr poniesie na słomiane stszehy, — pożar powstać może. Nie wam gotować zupę, iest do tego Magda, iest Kaśka i Iagna...

Popsuliście raki!

Do szkoły, łobuzy, bo zaraz tu wojsko, policję wezwiemy.

— Cuż policja mieć może do rakcwej zupy? — ozwał się ieden, zlekka mieszaiąc kcpyścią w... ociołku.

— Iakto co!? — wżasnął starszy z dwożan: „Oddajcie nasze raki!"

Z żalem odkładaiąc kopystkę, mruknął po cihu do siebie znuw ten... od kociołka:

— Miała być tylko zupa rakowa a te łapiduhy robią tyle hałasu, tyle bigosu i tyle ka—ka—o, iakby szło tu o wielki marsz na Izraela czy o marsz na całą świątobliwą Romę.

# PSU NA BUDĘ!...

Gdynia potszebuie pšzedsiębiorczyh ludzi. Zauważył to pszemysłowiec Z., będący z wycieczką nad możem a że wskutek stagnacji gospodarczej pozarywali go w Łodzi dłużnicy, więc szybko zlikwidował tam swoie interesy, wypompował, co się dało gotuwki i nawet z grubą kiesą pszybył na stałe do naszego New-Yorku. Straciwszy na tej likwidacji prawie tszy czwarte posiadanego maiątku, rozgoryczony Z. plunął na niewypłacalny niby polski Manchester i prucz wiernego pszyiaciela psa nic nie zabrał z sobą, by nic nie pszypominało mu więcej zapluskwionej parszywej zażydziałej Łodzi!

Iako zdolny pszemysłowiec i dobry kupiec, hoć intruz na tutejszym rynku (nieurodzony z naszej parafji!), zaraz wynaiął za miastem, na uboczu, niemal w czystym polu iakąś opuszczoną ruderę, ogrodził ią, upożądkował, wstawił maszyny, zaangażował kilkunastu bezrobotnyh żemieślnikuw, opłacił świadectwa handlowo - pszemysłowe, pokłonił się w pas wszystkim ustawowo kontroluiącym go inspektorom, cierpliwie zniusł wszelkie pruby i rygory pszepisowyh komisyj. wkońcu sprowadził księdza, by według parafjalnego zwyczaiu pokropił toto iak się patszy, pszeżegnał się i puścił prąd. Maszyny ruszyły, majstrowie z dumą poczęli wyciągać zpod precyzyjnyh trybuw prima-towar, mogący wypszeć z rynku nietylko konkurencyjną gdańską tandetę ale nadaiący się nawet na export, hoćby dla samego księcia Yorku (szczyt westhnień wywruconyh i wywracaiących się kobiet). pomimo że książe tak w toważe wybredny.

Wszyscy byli radzi, rad był i właściciel ale najwięcej radości okazywał pies, więc może dlatego bardzo go cenił gospodaż i niewątpliwie dlatego też nazwałem go, niby tego psa, wiernym pszyiacielem p. Z. Od szczeniaka (oczywiście ten pies) hodowa-

ny pszy nodze właściciela, zżył się z nim tak że bodaj czy nie pod iedną kołdrą z panem swym hciał sypiać. Może nawet i bywało tak w Łodzi, tu iednak, w pedantycznej pod względem pożądku Gdyni, po wielkim kontredansie z wielkimi pszemysłowo-inauguracyjnymi władzami nad małym interesem, p. Z. postanowił iak najmniej mieć odtąd wogule z wszelkimi użędami do czynienia i obowiaiąc się czyto policji sanitarnej, czy weterynaryjnej. czy wreszcie obyczaiowej, zdecydował w upożądkowanym podwurku pszy zakładzie wybudować psu budę.

Sprowadził cegłę, kilka desek, furę piasku, trohę wapna, wezwał muraża i kazał tam gdzieś w kącie zrobić mniejwięcej tak a tak... ot poprostu, zwyczajnie... psu na budę. Po kilku godzinah muraż pszycina iuż deski do krokiewek na daszku (bo wszak niewiele tam było roboty), gdy naraz, iak straszny Mefisto zpod ziemi, zjawia się groźny pszedstawiciel policji budowlanej (z wyglądu taki sobie iak każdy inny) i z szatańskim uśmiehem cap majstra za rękę:

— A gdzie — pyta — zezwolenie na wzniesienie budowli? gdzie plan zatwierdzony pszez użąd budowlany? gdzie tabela obliczeń? gdzie plan sytuacyjny placu? czyjto kataster?...

— Nie wiem — odparł, rozkładaiąc ręce, zdumiony muraż — ia tu pszypadkowo na kilka godzin iestem wynaięty ale panie, pan się hyba myli, pszecież to nie kamienica i nie żadna budowla a prowizorycznie robi się, iak zwykle, ot tak... psu na budę.

— Nie bądź pan mi mądry!... skoro ia muwię że budowla to budowla i tyle, zawołać gospodaża.

Muraż hrosnął na ziemię kielnię a obserwuiący pszez okno tę scenę p. Z. zbladł na płutno i ruhami skazańca iak na szafot wytoczył się na podwurko.

— Panie gospodażu, pszepisy budowlane, policja, Komisarjat Rządu, ustawodawstwo pruskie, rozpożądzenia, postępowanie karne i znuw policja i t. d. i t. d. — zaczął trajkotać systemem Szwarzloze'go użędowy pszedstawiciel bezpieczeństwa publicznego w dziedzinie budownictwa.

— Panie inżynieże — ciężko ięknął gospodaż — to nie muj grunt, iestem narazie dzierżawcą tej pszedwoiennej rudery, właściciel-niemiec umarł, wdowa mieszka w Niemczeh, ia nie mam plonuw terenowyh i ona też napewno ih nie posiada a nie będę

pszecież ściągał geometry, skoro pan sam widzi że to tymczasowo i tylko... psu na budę.

— Gdy będzie pszepisowo zrobione i komisyjnie pszyjęte, to policję budowlaną nic nie obhodzi, czy tu wuwczas pan będzie mieszkał czy pańskie psy — poważnie zakończył „pan inżynier" i z całą godnością uroczyście pszystąpił do formułowania protokułu: „Działo się dnia 8. X. 1931 roku. Ia niżejpodpisany, użędnik policji budowlanej i t. d. i t. d....

Sapiąc i potnieiąc, z trudem gryzmolił „pan inżynier" karny akt użędowy, do centymetra wymieżaiąc kubaturę onej budowli i pytaiąc iuż pułpszytomnego ze strahu p. Z. o imię iego ojca, matki, miejsce urodzenia (ślubnego czy z cudzołustwa), wiek, wyznanie, karalność, stosunek z pokrewieństwem i t. d. iak każda inna policja, gdy nagły straszny huk z pszeciągłym łoskotem w kierunku poblizkih blokuw Zakładu Ubezpieczeń Pracownikuw Umysłowyh zwrucił uwagę wszystkih obecnyh, nawet użędującego „pana inżyniera".

Runęło całe czteropiętrowe skszydło nowowykończonego gmahu ZUPU, pszed kilku tygodniami oddanego do zamieszkania pszez komisję tejże policji budowlanej...

Runęło wraz z kilkudziesięciu mieszkańcami, wyraźnie — z kilkudziesięciu ludźmi: runęło z całymi rodzinami, z całym ih mieniem, gżebiąc wszystkih i wszystko pod gruzem cegły, bierwion i ciężkih żelaznyh dźwigaruw...

Rozdzieraiący kszyk ludzki, kszyk rannyh i konaiącyh ofiar udeżył w dżdżyste zahmużone niebo...

Pszeciągły skowyt sygnału alarmowego straży ogniowej i pszeraźliwie wyiący gwizd syren okrętowyh phnęły na miejsce katastrofy wszystko co żyło...

Z rozwianym włosem biegły matki z rynku, ojcowie — z biur... do dzieci!...

Biegną...

Biegną a w uszy ih zdala ieszcze od rozpacznej mety cisną się iuż najwyraźniejsze głosy: „13 zabityh. 4 rannyh! Wybuh gazu!"

Biegną... szybciej miia ih straż ogniowa, miiaią rozpędzone auta, miiaią ci wreszcie, co prędzej biec mogą, co nie maią tam... rodzicuw ni dzieci!...

Biegną... a ztyłu udeża ih, iak nuż pszez plecy w serce, ciężkie eho żałobnie kołyszącyh się dzwonuw z kościoła św. Iana. wzywaiącyh iuż do modlitwy... za tragicznie zmarłyh i za konaiących...

Pszybiegł i nasz „pan inżynier“ i wszyscy „panowie inżynierowie“ i cała policja budowlana, pszemysłowa, sanitarna, weterynaryjna, obyczaiowa, drogowa, leśna, portowa, śledcza i inne...

Pszybiegł i sam pan naczelnik onej policji budowlanej.

Pszybiegł...

aiakże... nawet objął generalne dowudztwo, bo zaraz zaczął pszestawiać iedną policję na miejsce drugiej i... odwrotnie!

Pośrud rumowiska i kużu, pszy iękah wydobywanyh rannyh, z grona „panuw inżynieruw“ dohodzą wzaiemne głośne uiadania i słuszne zresztą tehniczne epitety:

— Ostszegałem starego kwadratowego durnia — kszyczy ieden z młodszyh — że gaz ten całą Gdynię wysadzi w powietsze...

— Daliście — atakuie „Gazolinę“ drugi — błazny djametralne miast gazu świetlnego gazy piorunuiące!

— Nasze kotły, rury, kurki i gaz w pożądku — broni się „inżynierja Gazoliny“ — budowa gmahu zero do sześcianu warta!... Spujżcie oto na wiszące bez oparcia dźwigary... cegła bez wapna. suhy piah się sypie...

— Budowa dobra! — zbiia arhitekt — administracja domu. dozorca tu winien... nie wezwał pogotowia, gdy mu lokatoży powiedzieli że w piwnicy syczało...

— Dranie!... — grozi ktoś kłucącym się, wygżebuiąc z gruzu ostygłe swe dziecko.

— Zamilczcie, nie tu miejsce na fahowe dyskusje, nie kompromitujcie się hociaż wobec ulicznego pospulstwa — zgarniaiąc kolegów na bok, starszy wiekiem iakiś emeryt-inżynier pociągnął ih w kąt za sobą. — Toż mordy wam tu obić mogą — prawił im tam do słuhu — nie wystawiajcież ih na licytację, kto więcej da. bo napewno znajdzie się bardzo wielu płatnikuw.

* * *

Na czwarty dzień reprezentacja żądu, miasto, ludność i delegacje pszez gremjalny udział w pogżebie złożyły hołd ofiarnym cieniom skandalicznej tragedji, spowodowanej niedołęstwem czy zawodowym analfabetyzmem tyh, kturym takih błęduw popełniać nie wolno...

Podobno Proboszcz wygłosił piękną mowę — tak pszynajmniej i prawie tyle tylko o całości zapodały dziennikarskie noty...

Podobno władze administracyjne i sądowe zrobiły wszystko, by ręka sprawiedliwości dosięgła sprawcy tylu ofiar i tylu pokszywdzonyh.

Podobno ZUPU wytoczył „Gazolinie“ powudztwo o odszkodowanie materjalne. Podobno nawet „Gazolina“ ma słabe widoki na suhe wybrnięcie z kotła tej naważonej kaszy...

Z innyh też żrudeł wiadomo nam że mowa Proboszcza podobno istotnie piękną była...

— Dobże zatem zrobiłeś Proboszczu że zbożnym nathnionym słowem utuliłeś ociekaiące krwią niemej skargi żywe rozdarte serca, nabżmiałe bulem buluw, bo niepowrotną i niezamienną stratą najbliższyh im osub, tak pszedwcześnie i tak tragicznie zgasłyh...

Dobże zrobiłeś Proboszczu że czułym rozważnym ukoieniem i wszehmocną modlitwą, iak anioł-struż stanąłeś między prohownią powszehnego obużenia a płonącym zapalnikiem gniewu i zemsty...

Dobże zrobiłeś lecz w imię świeckiej prawożądności, pozwoliny sobie uzupełnić Cię dzisiaj, żucaiąc roztropnie pominięte pszez Ciebie nad otwartym grobem pytania:

— Czyie sumienie obciąża ta pierwsza na Pomożu zbędna bratnia mogiła?..

Kto winien iest zguby tylu twurczyh istnień obywatelskih?...

Kto winien pszywiązać sobie pokutny sznur na szyię i workiem hańby nakryć gżeszną głowę?...

Kto winien sam coryhlej odejść stąd, zanim go wyrok w Imieniu Żeczypospolitej, w imieniu boleśnie skszywdzonej Gdyni, w imieniu zabityh ofiar, sromotnie odwoła a może i izoluie od inaczej pojmuiącego obowiązki publiczne obywatelstwa?... —

Mamy zaufanie do naszyh instytucyj sądowyh i niewątpliwie prawu stanie się zadość. Spokojnie obserwować będziemy bieg interesuiącej nas sprawy, atoli, maiąc na uwadze dobro rozbudowy miasta i rozpęd iej tehniki, pszeięci iesteśmy obawą, by indolencja użędowego dozoru tehnicznego, kturemu z powodu ostatniego wypadku nie uda się hyba „umycie rączek“, nie wystawiła na loterję swej fahowości dalszyh istnień ludzkih i miljonowyh inwestycyj.

Wyhodząc z elementarnego założenia że użędowy dozur tehniczny nie powinien ograniczać się litylko do akceptowania kontraktuw odnośnie takiego czy innego gazu, prądu bądź kwasu oraz na zatwierdzaniu nieczytelnym podpisem planu gmahuw-kolosuw ale zdaniem naszym: „Tszeba, panie naczelniku, kon-tro - lo - wać i to dobrze kon - tro - lo - wać, osobiście i na miejscu kon - tro - lo - wać, iuż hoćby dlatego tylko, by zła wola koncesjonarjusza i szukaiącego zyskuw pszedsiębiorcy (częstokroć wrogiego kraiowi i miastu) nie phnęła pana za bezczynność władzy, panie inżynieże... **do kry - mi - na - łu!**“

* * *

Spełniaiąc obowiązek kronikarski, nie hcę nikogo obrażać i hętnie radbym w następnyh tomah odwołać ewentualną moią „pomyłkę“ ale narazie nieh zostanie w mocy protokuł pszedstawiciela Policji Budowlanej z dnia 8. X. 1931 r., z kturymto aktem i iej naczelny inżynier zgodzi się teraz że to wszystko iednak i on sam z tym wszystkim tylko... **psu na budę!**

# RAJ I MAŁPY.

Onego czasu był pono raj na ziemi. Zamieszkiwali go ludzie i zwieżęta i wszystkim było dobże. Czy tam zawiniła kobieta czy mężczyzna, dość że z czyiejś winy cały raj ten począł się roić, puźniej wyraiać a co zatym idzie, nietylko ružne dolegliwości, horubska ale nawet najobżydliwsze pełzaki zaczęły włazić na człowieka. Z dnia na dzień życie ludzkie stawało się coraz pszykszejsze, uciążliwsze, hore, aż wreszcie nadeszła i ta faza że do szpiku kości zniedołężniały człowiek, nie mogąc iuż thu złapać, runął na łoże ostatniej niemocy.

Możeby staruszek podźwignął się ieszcze, możeby tam poutykał po znanyh mu miedzah, opłotkah i kątah ieszcze ze sto a może i ze dwieście lat, gdyby nie zwalił się był biedak i to tak... z niczego. Niby „z niczego" nihil fit więc zasadniczo nicby się i stać nie powinno, tak pszynajmniej rozumowałby każdy ontolog, tu iednak nie o wykładnię filozofji idzie a o tragedję człowieka, kturemu właśnie „z niczego" stało się nieszczęście.

Kwitnący kiedyś zdrowiem i siłą człowieczek ten radośnie zauważył że wszystkie iego organa i kończyny, iak mlode rozbawione wydry, mogłyby się nużać w falah rajskih ucieh i w nadmiaże cudownyh rozkoszy, gdyby nie ukrucał tyh pożytecznyh nażąduw nudny jak kokiel z prowansalem w muszli — zbędny widocznie muzg, t. j. taka sobie papka, zdrobniale mużdżkiem zwana w kuhni, pospolicie oleiem — w szkole i dopiero rozumem... w psyhjatrji. Zadowolony z idealnego odkrycia człowieczek nasz wolałby był widzieć ten cielęcy pszysmak raczej na gorącej patelni lub w słoiku psyhjatrycznego laboratorjum niż na froncie swego człowieczeństwa, więc naruwni z zębem mądrości mądżącą się mu papkę zaliczył do organuw szczątkowyh i postanowił doprowadzić ią do kompletnego zaniku. W tym celu

ulżył sobie pszez oprużnienie i tak pułpustyh komurek muzgowyh, by iak dziecinne baloniki ryhlej powiędły i stały się do niczego.

Atoli pszekorna natura nie znosi pružni i nie lubi śmietniska, więc opiekuiąc się pozostawionymi swemu losowi pustymi komurkami, poruszyła w nih samorodne embrjony zwykłyh iak po psie opieńkuw, zwanyh w ludzkih klinikah „żywym mięsem", w innyh znuw też ludzkih instytucjah — „złośliwym narostem" a ostatnio wszyscy iuż nowotwur ten nazywaią poprostu „bezrobociem", iako że od fizycznego i umysłowego nierubstwa wywodzi ono swuj psi herb i tarczę. Embrjonalny gżybek ten zrazu nie wydawał się iakimś groźnym „pszymiotem" bądź inną niebezpieczną naleciałością. Dokuczał wprawdzie trohę, pszypominaiąc żywotność niestrudzonej natury ale upoiony swym odkryciem człowieczek brał na noc „kogutka", zapiiał wodą i znuw zaczynał się bawić. Niekture embrjony wszakże bardzo szybko rosną i temu też gżybowi, iakby się do ślubu śpieszyło, bo rusł, łobuz, iak pszedślubny bahor. Wuwczas to i nasz rozbawiony człowiek, na wzur owej niefortunnej panny bez oleiu, uczuł się też nieszczęśliwym, gożej nawet, bo horym i to ciężko horym. Łapał się za głowę, zażywał wszelkih pszeciwmigrenowyh środkuw, nakładał na bżuh gorące faierki, stosował nacierania, masaż, rużne wanny, wszystko bezskutecznie. Niedawno aż go konwlusje hwyciły, gdy ujżał w złowieszczym lustsze że iego tważ spiekła się na kolor rakuw po rusku (z koperkiem) że napuhniętą głowę coś prawie w dwujnasub rozsadza: nadto tętniące ongiś życiem. iak lśniącym złotem, arterje i żyły posiniały mu tak, iakgdyby w nih iuż tylko atrament wexlowyh protestuw bulgotał: w boku znuw uczuł że i komory sercowe otwieraią się iak dżwi dla komornika a w zatkanym gardle rozpoznał gwałtownie wzbieraiącą t. zw. czarną krostę z czarnym beznadziejnym kryzysem. więc cuż miał biedny stary począć?...

Legł. wybałuszył ślepia, wywalił ozur i iak Twardowski na paięczynie zaczął epileptycznie pszebierać nogami. Zleciały się nawet fizyki. akuszery, weneryki i siostry cnotliwe — zaczęli radzić: kto bańki. kto piiawki, kto na pszeczyszczenie a kto lewatywę. Iak do złego duha pszybiegły i popy z egzorcyzmami. Wszyscy pogrążeni w smutku, boleiąc biegaią wkułko bezmyślnie i ieden pszez drugiego kszyczy, dże się, wżeszczy... tylko iakiś

młody nikomu nieznany pszehodzień wesoło hasa pod oknem i zacieraiąc ręce, głośno pośpiewuie:

Nie wieżę, nie wieżę,
by nad ćmą pacieże
odmawiały szczeże
czarne nietopeże
Oj dana, dana, dana...
Ślepa ćma kaleka
myślą niedaleka,
mądżejsza od człeka,
bo hociaż ucieka
Oj dana, dana, dana...
Mędżec, gdy iest hory,
leczą go doktory —
durniowi nieszpory
śpiewaią znahory
Oj dana, dana, dana...

Żywą beztroską piosnkę pierwsze dosłyszały urażone nią popy. Skoczyły do okien, gwałtownie phnęły ie naoścież i groźnie tszęsąc tszymanymi w podniesionyh pięściah nażędziami modłuw, podobnież iak i ih dogorywaiący pacjent, z pszerażenia nie mogły słowa iednego wymuwić. Straszna zbrodnia wciąż dalej uśmiehaiącego się do nih pszehodnia zaparła im deh w piersiah, rozwiała włosy, ściągnęła brwi, zakrwawiła oczy... aż pszełknąwszy pierwszą ślinę zgrozy, najtęższy z nih ryknął:

— Holero!... stary człowiek umiera!... wszyscy klęczą, płaczą, rozpaczaią; my mu nabożnie litanję śpiewamy, świece się palą a ty ośle gwiżdżesz! Czemu nie iesteś tu z nami pszy łożu, czemu pacieży nie muwisz, nie modlisz się... szaleńcze!

— Czy idzie wam o to, by ten drgaiący ieszcze trup wasz pożył trohę dłużej? — ozwał się pszehodzień.

— Właśnie dlatego że żyć iuż nie będzie, dlatego tszeba modlić się za niego....

— Poco? pszecież on całe życie mało co robił, ieno modlił się z wami, czy tam raczej do was, czemu pszynajmniej teraz nie daiecie mu spokoiu, czemu nie pozwalacie mu hoć ostatniej hwili spędzić samnasam z iego własnym sumieniem, by udeżył się w piersi i zostawił po sobie hoć krutki testament, godny iakiejtakiej pamięci a iuż conajmniej dokument, pohodzący od myślącego stwożenia

— Apage satana!... ten stary człowiek nietylko był mądrym, on ieszcze świętym zostanie, Żym go do męczennikuw zaliczy...

— Mussolini, Grandi, czy inna amazonka?

— Ojciec Św., durniu!... wszak do zgonu wierny Mu stażec ten, po hsześciiańsku włodażąc całym niemal padołem ziemskim, w pocie czoła pracował: tyle kościołuw wzniusł, tyle obronnyh zamkuw zbudował, tyle częstokołuw nabił, tyle zwycięstw nad wrogami wiary św. odniusł, tyle dobra nagromadził... On gury całe wywracał, pruł twarde żyły skalne, wydzierał skarby mineralne ciemnym wnętszom piekieł i głębinom morskim, on mdlał tam, ginął i miljony wiernej czeladzi padało tam z nim a ty złożeczysz mu i śmieiesz się zpusta, bezcześcisz miejsce dzieiowej żałoby i rozpacz tak bolesnej straty — obyś raiu nie zaznał... pszeklęty!

— O... o... o..., popeńku — pszytakuiąco podhwycił wyklinany rozmuwca — teraz trafiliście w sedno... o raiu wspomnieliście, ten raj mnie zawsze ciekawił, o nim właśnie myślę we dnie i w nocy. Wasz tak zasłużony stary człowiek też pono ongiś był w raiu?...

— Był ale go stracił — tu pop znacznie zniżył głos swuj.

— Po iakiegoż djabła rył się on tedy w gurah, topił w możu, sam ginął i innyh obok siebie gubił?

— Po złoto, braciszku, po złoto — całkiem iuż piano tłumaczył popina.

— Po zło... to?!! — huknął o oktawę wyżej zdumiony tym młodzian. — Teraz was rozumiem... kończcież, proszę, coryhlej mie, mnie zaś, iako iego nastęcy, kruszec ten iest zbędny, więc te wasze egzekwje i nie płaczcie więcej: on złota z sobą nie weźiakoś tam będzie... zgoda?

— Braciszku, tyś iak widzenie, iak sen!... ty muwisz głosem arhanioła...

— Bluźnisz! iestem tylko Nowym Człowiekiem.

Pop złożył ręce, padł na kolana, udeżył łbem w ziemię i zaintonował: „Zacznijcie wargi nasze hwalić Neoczło...

— Milcz! — zatknął mu pysk kułakiem Neoczłowiek — staremu pszykrość sprawiasz, iego pracą tyłeś.

— On iuż niepszytomny a ieśli zehcesz, my go wmig skończymy, wszak wszystkie fizyki, felczery i inne cyruliki są to nasi ludzie... O... o... o... muwią iuż że kipnął, słyszysz?... Co każesz, panie, z iego trupem zrobić?

— Wynieście go hen aż na Łysą Gurę, na samym szczycie złużcie, krulewski znak nad nim postawcie z największego nieociosanego głazu i wykujcie wdzięczny złoty napis: „Pod głazem płaz ıak nad płazem głaz“.

— Dobże żekłeś, mistrzu ale... to będzie trohę kosztowało...

— Nie martw się, popeńku. Gdy wrucisz, otszymasz nie tyle, co ten skąpiec cedził ci kiedyś starą drżącą ręką. Ia ci szczodżej i hojniej zapłacę: cały zapas złota stopię, odleię zeń ieden wielki długi gruby pal, ustawię go od ziemi do nieba i ciebię nań iak najbogatszego heruba wysoko nasadzę, byś miał bezpośrednio pod sobą wszystko co pragniesz.

— Iaki napis będzie? — spytał pop frasobliwie, drapiąc się w poświęconą głowę to znuw gdzieś w sutannę.

— Idź złoto do złota po zło... to!

— Idę! — zdecydował się iednak.

Kraknęły popy i długi kondukt ruszył ponuro, żałobnie.

Nowy Człowiek wszedł do opuszczonego domu, natyhmiast pszewietszył cuhnące trupim iadem komnaty, wymiutł wszystko. co pszypominałoby mu wczorajszą maskaradę i zaraz wyszedł nazewnątsz a rozejżawszy się wkoło:

— Iakto? — pytał sam siebie — tu... w tyh warunkah, na tej planecie, miał być kiedyś raj ziemski?... miejsce radości i szczęścia?... Niebywałe. Bujda pisma świętego!

Cały widnokręg stanowił straszny obraz haniebnego zaniedbania. Nieuiażmione wody z iednej strony obrywały bżegi i zanosiły piaskiem urodzajne tereny, to znuw na pszeciwległym krańcu gniiące kałuże zatruwały powietsze. Tszęsawiska i bagna: skarlały pszyziemny kosodżew; głogi i hwasty; wyiałowione pola; wcale niewyzyskane lub bezcelowo wywrucone pustynie i gury; brak drug, mostuw, kolei; iakieś krecie słomą zasłane osiedla, niby nory bobruw czy innych borsukuw — sumarycznie sprawiało to wszystko wrażenie, iakgdyby poza dzikimi drapieżnymi zwieżętami i zwykłą pospolitą małpą nie było tu nawet śladu stopy ludzkiej.

Małp zato było multum.

Zdziczałe, ongiś iakoby rajskie dżewa nie owocowały lub tyle co kot napłakał, bo zadarnione od dołu hodowały w popękanej koże poczwary wszelkiego robactwa. Ponad koronami, ieśli

kwitnącymi, to mhem i paięczyną, rozwidlały się suhe struhlałe konary a pędy wilczkuw iak piiawki doiły życiodajne soki, nie nadążaiąc wypuszczać nowego listowia dla żeruiącyh roi pasożytuw. Widząc to wzywaiące gromu nieba urągowisko iakiegokolwiek pożądku i dobrobytu, Nowy Człowiek zakasał rękawy i zmiejsca wziął się do pracy, wesoło w takt pszyśpiewuiąc:

Iaśniejsze słońce zaświeci,
zcześnie niedoli zły gad,
by w kwieciu szczęścia bez śmierci
żył Nowy Człowiek. druh, brat,
brat, brat, brat, brat!

Wyhudłe stada głodnyh małp biegały za nim, wżeszcząc pszeraźliwie i żucaiąc weń kamieniami. Stare małpy wmawiały w młode że iest on złym duhem małpiego raiu że obcinaiąc zgżybiałe sęki. uszczupla prawa ih posiadana że pszyszłe małpie pokolenia nie będą miały nawet za co ogonem się hwycić i t. p...

Ryhło iednak niemrawe wyłysiałe stare małpiszony, podobnież iak i ih stary pan, iedna po drugiej wyciągały nogi — młode zaś, pokosztowawszy wyhodowanyh pszez Nowego Człowieka słodkih rajskih iabłuszek. zaczęły taksamo pracować i nawet iakiś puźniejszy potomek Darwina ożekł że to zresztą nie mogły być... małpy!

# TWUŻMY NOWY ŚWIAT!

Do redakcji naszej wszedł nieśmiało pewien młody, może dlatego że skromnie ubrany — inteligent.

— Czy mogę rozmawiać z p. redaktorem „Klubu Nowyh Ludzi"? — zapytał iakby się iąkaiąc.

— Służę panu, proszę spocząć — sam też usiadłem. Nieznaiomy zaiął wskazane mu kszesło, wpił we mnie szukaiące czegoś iakby zabłąkane oczy i hoć wargi mu drgały... milczał.

— Pan zapewne pszyiezdny — zacząłem pszyiaźnie.

— Tydzień temu pszybyłem do Gdyni z myślą dostania się do kturejś ze szkul morskih lub hoćby do marynarki bądź do iakiejkolwiek pracy. Mam tegoroczną maturę, iednak komplety szkuł morskih są iuż pszepełnione, do marynarki woiennej należy starać się pszez P. K. U., czego nie wiedziałem, do handlowej znuw potszebna protekcja, kturej nie mam a w kilkunastu firmah portowyh oświadczono mi że wogule wakuiącyh posad brak, zresztą wolno im uzupełniać etaty tylko zpośrud kandydatuw państwowego użędu pośrednictwa pracy.

— Więc w poszukiwaniu wiedzy bądź zarobku tak niefortunnie skierował się pan z centrum kraiu nad może?

— Nietylko. Mażeniem moim iest życie morskie względnie nadmorskie; zbżydł mi iuż ląd i wszystko.

— Tak wcześnie?

— Nie mam wyjścia. Pujdę na uniwersytet?... cuż mi on da?.. łącznie z praktyką czy aplikanturą ieszcze dziesięcioletnią głoduwkę a może i całkowite rozczarowanie, więc poco?

— Kto pana skierował do nas?

— W domu ieszcze będąc, czytałem „Świat... nasz!", obecnie zaś, straciwszy grunt pod nogami, pszypomniałem sobie że redakcja „Klubu Nowyh Ludzi" znajduie się w Gdyni.

— Iak się panu podobał pierwszy nasz tom?

— Wielu koleguw czytało go i mieliśmy podzielone zdania.. aż sprawa oparła się o wyhowawcę klasy, ktury definitywnie dał uiemną opinję. Pszedewszystkim, iak ożekł, dzieło podważa stare zasady, nie daiąc wzamian nowyh; styl lekceważy i tak rozluźnioną dziś etykę pisarską: tytuł „Klub Nowyh Ludzi“ bez statutu wydaie się czytelnikowi nonsensem a wreszcie wyłączny subjektywizm autora, rozwinięty na kanwie prowincjonalnego życia iednostki, nie może rościć sobie pretensyj do cudotwurczyh efektuw.

— Czy wiadomo panu, że iednak Nowy Człowiek istnieie już, pracuie i osiąga nadspodziewane sukcesy?

— Podoba mi się idea Nowego Człowieka ale w rezultat iego wysiłkuw nie wieżę. Wszak w eże naszej wszystko iakby spszysięgło się pszeciw człowiekowi. Sprawdziany, pewniki zawodzą, słońce pono gaśnie, waluty załamuią się, kryzys wzrasta. rozwuj tehniki wyżucił na bruk 20 miljonuw bezrobotnyh, kto ih wyżywi?... nie widzę ratunku. Dziecinną iest nadzieia polepszenia się sytuacji: sam szukam pracy, widzę iak trudno ią znaleźć a co wskazywać miałoby na to, że iutro lepiej będzie? Nowe masy bezrobotnyh pszybędą, nowa nędza i nowe piekło...

— Nie powinno być ieszcze tak źle — pszerwałem rozgoryczonemu gościowi — pszecież iudeo-kapitalistyczny ustruj świata, ktury pszetrwał tyle tysięcy lat, niewątpliwie bronić się będzie. Już Hoover iak w biegunce ściąga na ściśle tajne narady swoih miljarderuw, iuż szahruie z Lavalem a i Ojciec Św. na czele duhowieństwa wszystkih wyznań dzielnie pomaga im obu: gżmią encykliki, listy pasterskie, we wszystkih kraiah zaproiektowane są iuż zbiurki na bezrobotnyh, odprawiaią się nabożeństwa...

— Żadne wyżebrane ofiary, nawet specjalne podatki i świadczenia nie zasypią bezdennego krateru światowego bezrobocia a proszę pszyłożyć uho do ziemi, posłuhać, iak ten wulkan wre, iak się gotuie i iakie opary wyżuca. Ślepy tylko nie widzi, głupi nie rozumie, co to wszystko wrużу. Ieszcze może wytszymaią iedną zimę, dwie i co dalej?

— Et, tak pirotehnicznie nastroił pana widocznie wasz profesor-wyhowawca.

— O, nie. On ma pracę, on bieże pensję, lihą ale bieże, więc też tak muwi, iak muwić mu każą. Dziś widzę, nie miałbym o czym nawet z nim rozmawiać; zwykły bakałaż — gdyby wylali go z budy to na drugi miesiąc z głodu kipnąłby nieboże.

— Nie zginie, pszyiacielu, każdy człowiek pszydatnym być może zwłaszcza w okresie tego **b-e-z-r-o-b-o-c-i-a.**

— Nie rozumiem pana, hyba pański t. i. iakiś Nowy Człowiek.

— Naturalnie.

— Czy mogę wiedzieć, ilu członkuw liczy iuż koło Gdyńskie Klubu Nowyh Ludzi?

— Sympatykuw i kandydatuw mamy wielu, natomiast pełnoprawnym członkiem iest dopiero ieden.

— Pan, iako założyciel?

— Nie.

— Prezydent miasta?

— Też nie.

— Dyrektor oddziału Banku Polskiego?

— Nigdy.

— To może dr. S., bo wszędzie się o nim słyszy, wszędzie go pełno, wszędzie musi on mieć swuj udział.

— Nie phaj pan słoni w uho igielne ale skoro tak się pan interesuie postacią Nowego Człowieka, mogę pana z nim dzisiaj zapoznać.

— Bardzo byłbym wdzięczny: pszy iego protekcji może zawieszę się gdziekolwiek.

— Myli się pan bardzo, on raczej panu swoie miejsce odda a protegować nikogo nie będzie: on sam nigdy nie kożystał z protekcji i bżydzi się nią zawsze.

— Ciekawy człowiek, daleko stąd mieszka? czy mogę być mu pszedstawiony tak iak iestem, w szarym sportowym ubraniu?

— Pujdźmy.

Na ulicah rojno było od ludzi. Iedni wyszli na spacer, drudzy pszyglądali się sklepowym wystawom, biadaiąc że iednak ceny wciąż ieszcze tszymają się mocno, inni znuw nieśli do domu rużne paczki, pakuneczki. Z okien restauracyj i kawiarń bezmyślnie wyglądały typowo „inteligentne" tważe, noszące na sobie grube warstwy pudru miast nieruwnie pożyteczniejszej cegły i wapna.

Toważysz muj, podążaiąc za mną, zasypywał mnie wciąż dalszymi pytaniami, gdzie i iak mieszka ten Nowy Człowiek, czy biuro ma czy interes iaki, dlaczego siedzi w Gdyni i nie iedzie np. w propagandowe tournée po Ameryce, iaki iest program iego działalności społecznej politycznej międzynarodowej...

— Bardzo prosty — wyiaśniłem — celowo pracować.

— Czyż te dwa wyrazy mogą odrodzić świat cały?

— Tylko te i to z całą pewnością. Celowa i harmonijna wspulpraca nie iest żadnym odkryciem ale świętym zbawczym objawem stałaby się, gdyby ią Ludzkość hoć raz zastosowała. Zehciejmy wszyscy, iak ten Nowy Człowiek, celowo pracować a ieśli nawet wbrew pismu św. nigdy nie było raiu na ziemi, to pod gwarancją niezadługo raiem nazwiemy cały glob ziemski.

— Himera, utopja — zaoponował muj rozmuwca.

Pszehodziliśmy wuwczas obok użędu pośrednictwa pracy. Pszed gmahem stało kilkadziesiąt opartyh o ścianę roweruw a na podwurku, w bramie, korytażu, na shodah i w poczekalni wiecowało kilkuset bezrobotnyh, klnącyh na zbyt nisko i skąpo wymieżone zasiłki.

Pośrud owej sarkaiącej żeszy zwinnie uwiiał się iak duh z innego świata iakiś obcy młodzian z długim kiiem w ręku i z workiem na plecah. Szybko obleciał on podwuże, na nic i na nikogo nie zważaiąc, poruszył każdy kąt swym kiiem, wżucił cośniecoś do worka i mehanicznie pobiegł dalej. Nawet tłum bezrobotnyh pszestał urągać użędowi, parsknął śmiehem, bo w czasah dzisiejszyh pszeobrażeń socjalnyh człowiek taki istotnie sprawiał wrażenie pułgłupka.

— Co ten dureń zbiera? — zapytał muj kompan.

— Zaraz zobaczymy, mnie to też ciekawi, hwycimy go w następnym podwurku; pośpieszmy — iestto właśnie nasz Nowy Człowiek.

Iuż w następnej bramie wpadliśmy na siebie.

— Cześć pracy! — pozdrowiłem go podniesieniem w gurę iak do pszysięgi dwu palcuw.

— Vivat, nasza prasa! — odparł z uśmiehem dobroduszny „dureń". Uścisnąwszy obie dłonie, pszedstawiłem mu mego socjusza i w trujkę skręciliśmy do bocznej portowej kawiarenki na puł czarnej.

— Iakże interesy? — żuciłem pszy stole pierwsze iak zwykle zwyczaiowe pytanie.

— Dziękuię, wcale niezłe — dumą i humorem podkreślił ten dziwny Nowy Człowiek. — Od ostatniej naszej rozmowy — objaśniał dalej — spszedałem iuż dwa wagony żelastwa, wagon tłuczonego szkła najpośledniejszego gatunku a mam ieszcze na swoim „hutoże" pod lasem około puł wagona szmat i tyleż f/f prima rużnorodnyh wysortowanyh butelek monopolowyh szampańskih octowyh aptecznyh i innyh. Powiadam wam — maiątek! Puściłem nadto w kurs tszeh donaiętyh starcuw, robota składniej pujdzie. iest iuż czym płacić.

— Gratuluię. niezmiernie rad iestem że wyliczenia nasze nie hybiły celu.

— Nie mogły hybić — pszerwał zamiłowany zbieracz nie tyle starożytności ile. zdawałoby się, nieużytecznego śmiecia. — Toż tu wszędzie bogactwo stosami prawie leży, z każdego podwurka wygarniam po kilka kilogramuw żelaza bądź szkła a ile pszytym widzę innyh interesuw!... nietkniętyh, niewyzyskanyh... aż pszykro patszeć. Weźcie pod oluwek łupiny, kości. pomyie — całe stadniny hodować i wykarmić można. Weźcie stażyznę, hoćbyście mieli sto par starego ubrania. obuwia czy gratuw, nikt ih tu nie kupi. iakgdyby był to wyłączny pszywilej handełesa-żyda a pszecież 33.000 zamożnyh mieszkańcuw nie wie, co ma z tym balastem robić. Za kilka złotyh można wcale niezły garnitur odkupić. za złotuwkę — stare kamasze. Dwukułkę wziąć, garnek z węglem wstawić i serdelki gorące lub trohę ciepłego barszczu podwieźć w południe robotnikom do portu, gdzie niema żadnej iadłodajni — rozspszedasz iak „Bristol", ludziska zapłacą i dobre słowo w podzięce powiedzą. Słomianki. miotły rozznieś po sklepah i biurah. też zarobisz kilkanaście złotyh dziennie. Skarżył mi się pewien dostawca okrętowy że w sezonie letnim nie pszyiął zamuwienia na 100 kg. szparaguw, bo gdzieżby tutaj taką ilość mugł nabyć, hyba z Lombardji musiałby sprowadzić. Podobnież mało nie płakał pszedemną ten biedak że marynaże — szwedzi. anglicy i amerykanie. pszybywaiący do Gdyni. gwałtu wżeszczą. by im dać takiego miodu. iaki Pan Zagłoba piiał a tu niema nawet z nalewkowskiej mykwy skarmelowanego kwasu. Pamiątki bursztynowe „z Gdyni" w 90% wyrabiane są w Niemczeh. no bo inaczej być nie może... inaczej nie

mielibyśmy bezrobotnyh i co byłoby wuwczas?... pomyślcie! Małą maszynkę wstaw do cięcia i kleienia papieru, zwykłe torby sklepowe rub a forsy zbieżesz iak lodu, nie muwiąc iuż o kopertah, kturymi tyie Gdańsk wskutek braku inicjatywy naszego kupiectwa i dzięki „patrjotyzmowi" szeregu tutejszyh instytucyj naszyh. Użędy, prasa i firmy gdyńskie konsumuią kolosalne masy papieru ale importowanego pszez żyduw gdańskih najczęściej z Niemiec bądź Finlandji, bo pszecież żaden z kupcuw i drukaży naszyh nie wpadnie na dowcip że możnaby uruhomić hurtownię kraiowej produkcji i pszyczynić się tymsamym do rozwoiu własnyh placuwek pszemysłowyh. Inna żecz że hurtowni takiej nie dźwignie nawet zżeszenie kupcuw branży papierniczej, bo psześwietne Polsko-Pszemysłowe i inne banki wolą grać na zniżkę z Austric'iem i to częściowo za oszczędności tegoż gdyńskiego kupca, niż żetelnie pracować w kraiu i dla kraiu. Zresztą nieh ci, co w gże tej padli, spoczywaią w pokoiu. O trupie albo dobże albo nic się nie muwi, bo może zmartwyhwstać gdzieś na innej ulicy pod tym czy innym szyldem /czytaj: dyrektorem/ i nowej biedy naważy. Wracaiąc do interesuw, kture można zmontować i bez kredytuw „okadzonyh" bądź „kadzącyh się" bankuw, tszeba zaliczyć tak niezbędne a iednak nieistnieiące w Gdyni firmy, gdzie możnaby nabyć iaką — taką wędkę z kiiem, siatkę na ryby, pamiątkową zabawkę dla dziecka, dobry spszęt sportowy i t. p. Zehciej tu kupić kawałek deski iesionowej, nie dostaniesz i tyle, iakgdyby iesion nieznany był w Polsce i rusł gdzieś aż w Indohinah. Wędliny, gdy ci podadzą pszez tutejszyh „mistszuw żeźnickih" wydoktoryzowane, to smakuiąc zapomnisz iężyka ojczystego w gębie i wybałuszonymi oczyma pszytakniesz: „Die Wurst mit uns!"*)

Gdynia iako port iest punktem pszeładunkowo-załadowczym lecz zapotszebuj głupią skszynkę drewnianą, to musisz taksuwką do Oliwy iehać i słono guldenami zapłacić, bo w tak ruhliwym mieście ekspedycyjnym poza mistszami żeźnickimi, kolonjalistami, bławatnikami, kturyh na każdej ulicy widzisz po kilkunastu, prawie że niema innyh kupcuw ani pszemysłowcuw. Plajtuie ieden za drugim a nową drogerję bądź skład pończoh otwiera — taka iuż tu celowość pracy, taka moda i zwyczaj... trudno! Wprawdzie są tu i duże pszedsiębiorstwa, nawet exportowe, oho!...

*) Kiełbasa z nami!

Dla pszykładu Spułka Akcyjna t. zw. „Cukier kszepi“ ubolewa: że wewnętszny obrut cukrem iest tak minimalny że wieś nasza żyie wyłącznie ziemniakiem i mlekiem bądź pszemycaną pszez pahciaża saharyną że wieś ta wcale nie spożywa cukru, kturego kilogram kosztuie tylko 1 zł. 80 gr. i wobec tego, aby nie stanęły cukrownie, aby podtszymać rolnictwo, tszeba wyprodukowaną nadwyżkę cukru exportować zagranicę, oczywiście z olbżymią stratą, bo na całym świecie kilogram cukru nie kosztuie więcej iak 38 groszy. Spytacie: ktuż wytszyma taką kalkulację?... Śmiej się paiacu!... Polak wszystko wytszyma: nato płaci on akcyzę, żeby ten podatek otszymywała zpowrotem firma „Cukier kszepi“ tytułem premji wywozowej... i co? źle?... Że hłop nie ie cukru — mała bieda, nieh go djabli wezmą, byle tylko istniał syndykat „Cukier kszepi“.

Pytam — czy nie lepiej byłoby skasować tę akcyzę od cukru, obniżyć tymsamym cenę i znieść owe hore premje wywozowe a wielokroć wzrośnie konsumcja wewnętszna, bo pszybędzie odbiorcuw 20 miljonuw wioskowego luda i wszyscy zarobią: żąd weźmie swuj potrujny podatek obrotowo-dohodowy /od fabrykanta, hurtownika i detalisty/, fabrykant otszyma swuj zysk, kupiec — prowizję, robotnik — pracę a i hłop będzie rad, gdy iego baba iak dziedziczka zacznie „dla dzieciskuw czy dla kunigasa“ smażyć konfitury.

— Wszystkie uwagi i spostszeżenia pańskie — wtrącił nasz tszeci — możeby ożywiły Gdynię i wprowadziły pewne odprężenie w kraiu ale nie phną one ieszcze świata na nowe tory, nie usuną kryzysu i depresji.

— Słusznie — pszyznał Nowy Człowiek. — Ieżeli pana interesuią dalsze ogniwa myśli naszej, to wiedz pan że wszystko tszeba zmienić, wszystko odnowić a pszedewszystkim duszę ludzką należy wyrwać z letargu martwyh zamrożonyh poięć, tszeba targnąć nią, podnieść, uszlahetnić, by godną się stała tej kultury, w iaką wprowadza ią postęp i genjusz iednostek. Obecny stan tehniki i komunikacji raz na zawsze pszekreślił staroświecką sielankę zaściankowo-sentymentalnyh izolacyj. Nieustanny motor rozwoiu na wzur powietsznego aerostatu gurnym lotem szybuie wciąż napszud dla dobra Ludzkości i nie zawruci go iuż żadna wiza łotewskiego czy duńskiego konsula.

Są tacy, co pszypisuią kryzys postępowi. Rozumuiąc ih kategorjami, doszlibyśmy do wniosku że należy się nam cofnąć i żyć systemem epoki kamiennej. Idjotyczne głupstwo. Pszeciwnie: kryzys światowy iest skutkiem tamowania postępu pszez barjery celne i ultranacjonalny konserwatyzm. Ucywilizujcie Indje. Hiny. Afrykę. Australję, Syberję a nawet naszą europejską wieś, dajcie iej oświatę, książki, drogi, elektryczność, radjo, zmieńcie iej drewniane sohy na lżejsze pługi stalowe, zracjonalizujcie gospodarkę rolną, pokażcie wsi budowle z żełbetonu a nietylko. iak ręką odjął. zniknie bezrobocie ale braknie rąk do pracy.

Ma być dobże, gdy Ameryka topi miljony buszli pszenicy, Indje takąż ilość ryżu. Kuba — cukru. Brazylja — kawy a w Hinah giną miljony ludzi. biednyh. nieszczęśliwyh ludzi... z głodu! Stoi bezczynnie marynarka handlowa z braku... frahtuw. tylko krążowniki iapońskie objeżdżaią cmentażysko hańby XX wieku, szukaiąc złotego runa na kościotrupie padłego z głodu hińczyka. Stąd też nic dziwnego że wszystko wali się dzisiaj. bo wszędzie dominuie tylko militaryzm dla złota i złoto dla militaryzmu a z tego błędnego koła wyrasta oklaskiwany pszez opłotkowyh patrjotuw faszyzm. hitleryzm. borahizm bądź inne korsarstwo i jego pierworodne dziecko. kturego imię straszne — wojna!

Nie są to iekieś rewelacyjne nowości ani tymbardziej halucynacje a skoro tak istotnie iest i nikt nie wskazuie wyjścia. pszeto pszezorny Nowy Człowiek nakreślił sobie może bardzo trudną drogę ale drogę prostą i iasną czyli tymsamym parwdopodobnie najkrutszą. Z bulem synowskiego serca doszedł on do pszekonania że skoro ten z dnia na dzień wzbieraiący kryzys istotnie iest światowym. więc żadna Kozia Wulka ani inne Niderlandy nie stwożą cudu i nie pszerobią go hoćby tylko u siebie i dla siebie na partykularne prosperity t. i. na własne eldorado.

Żadne państwo własnymi siłami nie iest dziś w stanie podnieść się bez podniesienia upadłego świata. Niezbędną więc iest wspułpraca wszystkih państw a pszynajmniej znacznej większości. Tu wyłania się pytanie: iak zacząć tę nieznaną w dzieiah świata kollaborację? Iedna tylko być może odpowiedź: **od początku!**

Sprubujmy. Znajdźmy pierwszy wspulny mianownik. pierwszy pomost. pierwsze słowo. kture bez terroru i gwałtu by-

loby do pszyięcia pszez wszystkie narody, ludy, szczepy i iednostki. Niema takiego — szkoda! Pszyjmijmy tedy w harakteże łącznika ten czynnik, ktury może liczyć na zdobycie najwyższego stopnia powszehności.

Ktuż iak Bug?! — tszeba tu powtużyć, hoćbym nawet ia sam nie uznawał Go! Zatym i nowy świat tszeba zacząć twożyć od starego Twurcy.

W tym celu:

1-o: okażmy Go wszędzie i uznajmy iako Najwyższy Autorytet a będziemy mieli hoć to pierwsze słowo wspulne, wokoło ktu̇rego skupi się Ludzkość, zamieniaiąc pagody, meczety, kirhy i kościoły na domy godnej Boga i rozumnego człowieka zgodnej bratniej modlitwy. Połammy coryhlej bałwohwalcze drewniane kukły, idoły, mamidła i inne tym podobne rużniące nas, nas ludzi rozumnyh, bogohulstwa: zacznijmy czcić Prawdę i szanować sami siebie czyli tężsamą Ludzkość!

2-o: Całkowicie zautonomizujmy regjonalne samożądy na podstawie iednej dla wszystkih konstytucji.

3-o: Stwużmy Radę Naczelną, wyposażoną w międzynarodową siłę egzekutywną, gwarantującą możność uiażmienia wszelkiego warholstwa i buntu.

4-o: Wprowadźmy iedną walutę, opartą nie na złocie a na emisji pięcioletniego światowego budżetu Rady Naczelnej! Nie pszeklęte zło... to lecz kilogram czarnego hleba, ryżu czy mamałygi bądź godzina niekwalifikowanej pracy nieh będzie sprawiedliwym miernikiem wynagrodzenia i rozrahunku w myśl zasady: „kto nie pracuie nieh nie ie“. Ieśli o zaufanie idzie, to hańbą Ludzkości iest, aby o iej losie decydował martwy metal, kturemu tylko ona winna nadać właściwy cel i pszeznaczenie. Nadto, mogę nie mieć zaufania do marki niemieckiej, dolara czy funta ale nie mugłbym nie mieć zaufania do powszehnej, bo wyłącznej międzynarodowej waluty, za kturą i ia ponoszę moralną oraz materjalną odpowiedzialność. Muwicie że złoto stałoby się konkurencyjną czy parytetową walutą wyższą? Możliwe, tak długo dopuki miałoby naiwnyh nabywcuw lecz ryhło spekulacja ta musiałaby się skończyć ze szkodę oczywiście samyh spekulantuw. Kapitał, iako dorobek postępu, ma rację bytu pod warunkiem że stanowi on w zasadzie własność publiczną a w posiadaniu prywatnym — o ile wykazuie inicjatywę twurczą, nie zaś rozkiełznanie i nierubstwo. W tym ostatnim wypadku kapitał pujdzie w

myśl konstytucji na podatki, iak złoto zgury będzie pszesądzone na plomby i na potszeby medycyny. Podobnież Nowy Człowiek nie będzie się nim obwieszał, bo nie połyskiem ani bżękiem metalu hlubić się on zehce a zaletami własnego człowieczeństwa.

5-o: Wolny handel, wolna emigracja, wolny transport, prawo używalności niewykożystanyh lub słabo wyzyskiwanyh powieżhni, zniesienie pszywileiuw i koncesyj musi się stać faktem dokonanym. Nie bujmy się że zaleie nasz rynek i pszemysł robotnik obcy, bo wuwczas nic nie będzie obcego a wszystko stanie się wartościowym.

6-o: Gigantyczne plany użytecznyh międzynarodowyh robut publicznyh i kolejna realizacja tyhże pozostaną pszyszłym pokoleniom wzorem rozumowania i celowej pracy naszej.

7-o: Dać odpowiednie warunki i warsztaty ludziom nauki, by tymintensywniej mogli poświęcić się wciąż wzrastaiącym potszebom Ludzkości.

8-o: Podnieść opiekę społeczną, usunąć żebractwo, iako wstyd i ujmę pszynoszące godności ludzkiej.

9-o: Opracować iężyk międzynarodowy, kturyby proporcjonalnie wyprowadzał się z najpowszehniejszyh źrudłosłowuw pszy najbardziej uproszczonej poprawności mowy i pisowni.

10-o: Nie dopuszczać ozłociałego żydostwa iako starej gangreny do młodej krwi nowego świata.

— Panie! pan piękne hasła głosi — kszyknął do gruntu pszekonany nasz młodzian.

— Mało głosić — poprawił niepokaźny napozur cihy Nowy Człowiek — pszedewszystkim tszeba pracować. szkoda czasu.

Wstał wyciągnął zpod stołu swuj worek, serdecznie podał mi rękę, uiął za ramię wyrwanego staremu światu bezrobotnego i po pszyiacielsku pociągnął go za sobą. dobrodusznie acz mocno powtażaiąc:

— Świat... nasz! Twużmy nowy świat!

# Z BOGIEM IDĘ!...

*Ciężko... smutno — nędza, rozpacz... iak na dnie mogiły*
*starą mumją i stęhlizną cuhnie świat ten zgniły,*
*ta rakarnia, ta gehenna, w kturej się skupiły*
*wszystkih wiekuw, wszystkih piekieł najciemniejsze siły.*

— — — — — — — — — — —

*Słyszę ięki, cihe słabe iakgdyby ostatnie —*
*Boże, Boże! toż to giną moie dusze bratnie...*
*Precz wampiry, wilkołaki,*
*ze mną inny buj nie taki...*
*szpony wasze mnie nie hwycą —*
*iestem Prawdy błyskawicą*
*i piorunem, co uśmierca*
*wszystko prucz czystego serca!*
*Z Bogiem idę!... Bug jest ze mną — wszelka wasza broń daremną!...*

— — — — —

*Hej, kto żywie, kto hce żyć*
*do mnie! żywo, dalej bić,*
*aże pęknie łeb demona,*
*aż mu wnętsza spłyną z łona*
*a gdy prawem Lincza skona —*
*ty, Ludzkości, wyzwolona*
*nie Jehowie dzięki złuż,*
*nie Iahwe'go synom, mamom*
*i nie iakimś tam tumanom*
*czarnyh, białyh mafij, luż,*
*ieno . . .*
*Temu Bogu służ!*

# DEKALOG.

Nie był to Bug Nasz, bug Izraela, co na kamieniu kamienne rył prawa i kamienowaniem nażucał światu hwałę nasienia Dawidowego.

Bug Nasz — Bug Ludzkości, Bug duszy i serca — Ten iest Bogiem Naszym i te są święte prawa Iego:

I. Niema pokoiu ni szczęścia bez Boga Ludzkości.

II. Uznaj Najwyższy Autorytet Ten, skoro ty mugłbyś Mu być zbyteczny a On tobie iest iak oddeh niezbędny.

III. Bądź Mu takim dzieckiem, iakim On ci iest Stwurcą — Najlepszym Ojcem Naszym.

IV. Sercem, wolą i czynem czcij rodzicuw swoih, szanuj dobre prawa i rozume władze. Kohaj prawdę i bądź miłosiernym.

V. Ceń własne i cudze zdrowie, byś pożyteczną pracą iak najdłużej mugł służyć dobru powszehmemu.

VI. Ujmij mocno ciało swe, iak kruhą drabinę doskonalącego się duha, byś nie runął na dno nicości twoiej.

VII. Nie pragnij żeczy hoćby i potszebnyh ci, gdy inni nie maią najniezbędniejszyh.

VIII. Bratem bądź bliźniemu, bo w Ludzkości i nad nią iest Wszehmocny Bug On.

IX. Uspołeczniaj się w karnej organizacji Nowego Człowieka.

X. Szlahetnością i pracą szukaj szczęścia swego a ieszcze tutaj ie znajdziesz w pięknyh potencjah duha twego.

# O BOŻE!...

*O Boże, Nowyh Ludzi Boże,*
*Sam powiedz, określ, objaw Sam,*
*iak w pszeolbżymim tym pszestwoże*
*ia uczcić Ciebie, nazwać mam?*

*Im dalej słaby wzrok muj sięga,*
*tym lepiej widzę Twoią Iaśń*
*lecz dla Cię nawet lira, księga*
*nie ma słuw żadna klehda, baśń...*

*bo nie historją ani marą*
*wszehwładnie dzierżysz cały świat —*
*Ty Ieden własną Swą Nadmiarą*
*żądzisz bez naszyh liczb i dat.*

*I żądzić będziesz nieskończenie,*
*czy ludzkie liho hce czy nie,*
*bo wkoło twurcze Twoie thnienie*
*widzę na iawie i we śnie.*

*Z cyklu „PER ASPERA“.*

# ORLIK.

Wezwany w trybie pilnym z odległyh pozycyj do sztabu w Erzerumie, podjąłem tę stukilkudziesięciokilometrową podruż sam ieden konno bez ordynansa, żałuiąc fatygi żołnieża oraz oszczędzaiąc rozhodu pszepracowanyh na froncie koni.

Trasę drogi stanowiły zazwyczaj w tamtyh stronah mapa, kompas i informacje tubylcuw, bowiem w Małej Azji prawie że wogule drug niema a te co są ulegaią zmianom zależnie od pory roku. Letnią drogą nie można iehać w zimie, bo podrużny z racji krutkiego dnia nie zdąży np. pszesadzić gury Szantaj—Dagu bądź Araratu, niehybnie złapią go na szczycie mgły, zamiecie, mrozy i śmiałek zmarznie tam zasypany śniegiem, nie pozostawiaiąc do wiosny nawet śladu po sobie. Tak ginęły nieiednokrotnie całe karawany z wozami, końmi i ludźmi, zatarasowuiąc drogę nowym taborom, kture, nie mogąc zboczyć, musiały po trupah posuwać się dalej. Zimową drogą nie można iehać w lecie, bo znuw opaczny podrużny utonie gdzieś w bagnah. Iesienne i wiosenne drogi też są inne, zależnie od opaduw i rozlewu wud.

Informuiąc się po wioskah, rozżuconyh średnio co dziesięć — piętnaście kilometruw iedna od drugiej, nie należy się pytać, ile kilometruw iest do następnego osiedla, bo kurd, turek czy ormianin zawsze odpowie że dwa, tszy kilometry a do wioski nie trafi się wcześniej aż po dobryh kilku godzinah iazdy. Małoazjanie liczą odległość nie na kilometry a na zużyte godziny, stądto wynika owe nieporozumienie i stąd powstało pszysłowie: krutki iak turecka wiorsta.

Zrobiłem już z pięćdziesiąt kilometruw, gdy po odpoczynku we wsi Czaftlik zapytałem, ile liczą do wsi następnej w stronę Erzerumu.

— Niedaleko, cztery kilometry — odpowiedział stary kurd, wskazując mi kierunek.

— Aha — uśmiehnąłem się — to cztery godziny jazdy i napewno z ogonkiem ale ponieważ noc zapowiadała się pogodnie, więc, nie bacząc na zmieżh, ruszyłem z kopyta dalej.

Poczciwy muj Orlik bez ostrug rwał ruwninami kłusa, by w gurah ponad pszepaściami po wąskih skośnyh zlodowaciałyh ścieżynah uważnie stąpać krok za krokiem. Tam on rozsądnie zwykł był upszednio badać grunt, zanim nań nogę postawi. Z podziwem obserwowałem to szlahetne zwieżę, zdające sobie najwidoczniej sprawę z niebezpieczeństwa, grożącego nam obu w razie mojej bądź jego nieostrożności. Toteż w najryzykowniejszyh punktah konisko stawało a ja puszczałem mu lejce i jeśli roztropny Orlik stał nadal, shodziłem, badałem podłoże, sam szedłem napszud lub podsypywałem śnieg bądź ziemię na zbyt skośne zgołoledziałe odkosy.

Tak jadąc pszebrnęliśmy szczęśliwie ostatnią gurę i podążamy rozległym stepem, gdy naraz muj wierny toważysz podruży z ruwnego kłusa nagle osiadł na miejscu, nerwowo zaczął stszyc uszami, hrapać, kręcić się aż wreszcie stanął dęba.

Z braku księżyca zapadła noc stała się tak ciemną że na dziesięć krokuw od siebie nic nie widzieliśmy obaj. Popuściłem Orlikowi cugle, pułzwrotem w powietszu obrucił się wtył i zimny pot mnie oblał, gdy dostszegłem z ośmdziesiąt par wielkih błyszczącyh jak latarnie ślepiuw, pędzącyh z gur wprost na nas.

— Wilki! zgłodniałe żywej krwi wilki! — ścierpłem.

Błyskawicznie zmniejszający się dystans wynosił jeszcze jakieś tszysta metruw. Dobyłem nagan, otwożyłem zapasowe ładownice, szybko dałem tszy stszały. Koń spuścił łeb, wsparł go na ziemi i nieruhomo bez drgnięcia oczekiwał dalszyh moih stszałuw ale ja, widząc że stado szybuje wciąż ku nam i stszały tu będą bezskuteczne, w celu samoobrony tarpnąłem ostrą stalową szablę, nie wiedząc że ta, gdy dębem robiliśmy pułzwrot, podwinęła się głęboko pod czaprak i pod lewe stszemię. Biedny Orlik, myśląc widocznie że hwycił go za bok już jeden z dopadłyh doń wilkuw — jak padalec dał susa wprawo i naoślep

żucił się wskok dalej aż obaj po szyie wpadliśmy do wody. Była to, iak się zorjentowałem, żeka Araks, około sześciu metruw szeroka ale też wyiątkowo w tym reionie na tyle głęboka że koń nogami dna nie dostaiąc płynął do pszeciwległego bżegu. Ledwie pokonaliśmy silny prąd gurski, gdy nowa trudność iakby rozkazywała nam tonąć: drugi bżeg okazał się tak wysokim, stromym i kamienistym że o wyskoczeniu nie mogło być i myśli. Płynąc kilkadziesiąt metruw hwyciłem się po ciemku iakiejś wikliny a podniusłszy się na niej, wyskoczyłem z siodła. Ulżyło to Orlikowi: odparsknął zalewaiącą mu nozdża wodę, wypłynął wyżej, odsapnął lecz nie maiąc iuż siły zawrucić znuw ku mnie, zdał się na los prądu. Pszy pomocy wikliny wydźwignąłem się z wody i ledwie, ledwie wylazłem na bżeg. Cała żeka zabłysła iakby wzdłuż oświetloną była dwużędem iażącyh się ślepiuw: na lądzie i w wodzie. Zaskoczone pszeszkodą wilki zaczęły mocno kłapać głodnymi paszczami i węszyć wąskie miejsce pszeskoku.

Nie myśląc iuż o sobie ani o wilkah, pobiegłem na ratunek Orlikowi. Opadła z sił szkapina płynęła wciąż dalej, beznadziejnie obwąhuiąc wysokie bżegi i rozpaczliwie wyciągaiąc długą szyię ku guże. Klingą szabli podhwyciłem trędzle a upatszywszy możliwie najniższe miejsce, gdzie wpadał wąski strumyczek:

— Hop, Orlik! — kszyknąłem.

Biedne zwieżę żuciło się całym pszodem ku mnie i trafiło iedną nogą w kamienne koryto strumyka: zdążyłem uhwycić gżywę i tak obaj, to waląc się — to wstaiąc, wybrnęliśmy na ląd.

Nie zapomnę, iak Orlik, otsząsnąwszy się z wody, parsknął i począł wdzięcznie oblizywać moie mokre włosy, bo czapka została gdzieś w żece.

Wilki też się skoncentrowały po drugiej stronie napszeciw nas a ih nieustanne ruhy wskazywały że lada hwilę sprubuią dać skok pszez wodę lub puszczą się wpław. Załadowałem rewolwer i maiąc tylko na piętnaście krokuw od siebie całą tę zgraię, dałem z kolana wszystkie sześć strzałuw w najbliższą i najliczniejszą grupę. Kilka bolesnyh skowytuw rozdarło powietsze. Żarłoczne wilki, czuiąc zapah swej własnej świeżej posoki, żuciły się na rannyh krewniakuw i wytwożyły z siebie iedną skłębioną wielką masę: powstała tam zażarta szarpanina, harkot, wycie, walka.

Orlik zarżał radośnie, podniusł głowę, wesoło zaczął mahać ogonem i z zadowolenia pszebierał nogami.

Wprowadziłem do rewolweru nową porcję naboi, hwyciłem za cugle wciąż ieszcze rżącego Orlika i pobiegłem w pszeciwnym od bżegu kierunku, by być dalej od wilkuw i ratować się od zamarznięcia, bo z zimna iuż mi nie trafiał ieden ząb na drugi. Po kilku kilometrah zagżałem się nieco ale wzamian zato tak się zmęczyłem, tak mię siły opadły że nie czułem nug pod sobą a obawiaiąc się, by nie paść bez pszytomności, dosiadłem Orlika. Dziwny sen mię możył. Pszewiduiąc że ryhło zemdleię, podciągnąłem popręgi, mocno pszytroczyłem się pasem oraz żemykami do obu stron głębokiego meksykańskiego siodła i wyczerpany zasnąłem.

Nagły wstsząs rano wrucił mi pszytomność. To biedny Orlik, pędząc własnym zmysłem, dotarł do iakiejś wsi, wpadł na pszypruszony śniegiem dah podziemnego ałułu. Spruhniały dah załamał się i obaj runęliśmy do wnętsza haty, pozostaiąc nogami na dwoże. Kszyk wystraszonyh mężczyzn, wżask kobiet, pisk dzieci, szczekanie psa i moie zdziwienie zlało się tu w ieden nie daiący się opisać tumult.

— Ratuj, kardasz!*), kszyknąłem do drącego się zpod kołdry turka, głaszcząc iednocześnie Orlika, by się nie szamotał, bo mugłby sobie pszednie nogi połamać. Kardasz wybiegł w bieliźnie na dwur, odpiął mi stszemiona i po końskiej szyi stoczyłem się do izby a podsunąwszy wiszącemu Orlikowi wysoki warsztat tkacki, odciąłem szablą popręgi, uwolniłem go z siodła, pszy pomocy opszytomniałej iuż nieco rodziny kardasza szeżej rozerwaliśmy dah i niemniej szczęśliwie spuściliśmy Orlika z sufitu na podłogę.

Byliśmy ocaleni.

---

*) Tur. zn. — pszyiacielu!

# MICHEL.

Carska Rosja zwłaszcza nad Wołgą miała dużo kolonistuw -niemcuw. obywateli rosyjskih. W czasie wielkiej wojny światowej, sztab generalny, obawiając się zdrady kolonistuw i innoplemieńcuw. wysyłał ih pszeważnie na turecki front. Stąd też kompanja moja łącznie z iej pomocniczymi i gospodarczymi oddziałami zrekrutowana była wyłącznie z niemcuw-kolonistuw.

Ieńcy tureccy, wbrew wszystkim Boskim i ludzkim prawom, zmuszani byli do pszeciwtureckih robut fortyfikacyjnyh. Taktykę tę zastosowała Rosja w trybie rewanżu za identyczne nadużycia państw centralnyh w stosunku do ieńcuw rosyjskih.

* * *

Wspułpracując w budowie drug polowyh. udałem się na odcinek, gdzie powieżony memu kierownictwu turecki oddział ieńcuw woiennyh w sile 1200 ludzi. rozbity na dwie kompanje. usunąć miał wysoki skalny zrąb gury z miejsca, obranego pod trasę drogi dla ciężkiej artylerji gurskiej.

Było to w lipcu. Upalne słońce prażyło. żar bił od rozpalonyh twardyh skał, nadto snopy iskier zpod stalowyh łomuw i kirek pażyły bose nogi omdlewaiącyh z pracy niewolnikuw.

— Spocznij! — dałem rozkaz komendy, po pszyięciu raportu.

— Czoh iakhszi!*) — żekł ten i uw. kładąc nażędzie, ocieraiąc żywy pot z czoła i z trudem prostuiąc w pałąk zgięte bary.

— Iak idzie robota? — pytam starszego feldwebla Mihela, wyrużniaiąco częstuiąc go papierosem.

— Pszed szustą skończymy, o wieczornym hłodzie zaczniemy następny odcinek. To bydło nieźle pracuie, ieno poganiać ie tszeba i poszturhiwać co hwilę. Za karę urwałem im dziś kwa-

---

*) tur. — Bardzo dobże!

drans z obiadowej godziny. Pozwul, Waszmość, podać iuż komendę „wstawaj!".

— Nie męcz tak ludzi — żekłem pułżartem — ieśli nie hcesz, bym ci wytoczył bardzo bżydką sprawę: iesteś widzę bardziej niemcem — kolonistą niż rosyjskim poddanym, zażniesz mi cały oddział, by iutro nie miał kto pracować? Zdrada iasna... kula w łeb i kwita.

— Albo medal Iego Cesarskiej Mości — hytsze odpowiada niemiec, pożądliwie szukaiąc w oczah myh uznania. — Za to drańtwo miałbym odpowiadać? nieh giną tu thuże! Waszmość też kszywdy nie zrobiłby mi hyba, wszak pan iest polakiem i to tym z Warszawy?

— Milcz, Mihel, za duży pysk masz, nie od polityki tu iesteś, od iutra shodzisz z linji, idziesz do taboru! —

— Rozkaz Waszej Mości!... czy mogą iuż wstawać? — ponownie zapytał, żucaiąc niedopałek i gorliwie obciągaiąc mundur.

Tu iednak ciekawy udeżył mnie szczeguł: na tleiący ogarek papierosa pada kilkudziesięciu ieńcuw, hwytaią go z ziemi, wydzieraią sobie, wreszcie szczęśliwy zdobywca łapczywie zaciąga się nim; inni wciskaią się w tłum możliwie najgłębiej, by hoć powąhać i pszypomnieć sobie ulubiony zapah tak dawno niefasowanego tytuniu.

O tak, bo ieńcy to nie ludzie, im się nie daie koszuli, mydła, słomy na posłanie ani tymbardziej nawet kożeni tytuniowyh, żaden pszepis nic o tym nie muwi. Ieniec to wuł, kturym można do zemdlenia orać i nawet mu liści buraczanyh ani kłaka siana nie dać.

Będąc sam palącym, rozumiałem tyh nieszczęśliwcuw, to też nie mogłem nie rozdać poczciwym kardaszom całego zapasu mojej papierośnicy a widząc ih oniemiałą wdzięczność, wysypałem nadto zawartość portfelu, aby mieli hociaż po paczce „złotej rybki".

— Czoh iakhszi! czoh iakhszi, effendi pasza! — długo ieszcze poza sobą słyszałem, odhodząc na kontrolę do drugiej takiejsamej niewolniczej kompanji.

# ŚMIERĆ ORLIKA.

W miarę rozwoiu wypadkuw posuwano i moią kompanję napszud. Na ten raz otszymałem rozkaz rozbicia namiotuw w szczerym polu pomiędzy gurami. Mapy nie uiawniały w pobliżu żadnej wioski, najbliższy oddział wojskowy stacjonował o 30 klm. od tego miejsca. Surowa zima mocno spotężniała, utrudniaiąc nietylko prace ale nawet aprowizację kompanji i bataljonu ieńcuw.

Pewnej styczniowej nocy zerwała się tak wielka zamieć że nad ranem znaleźliśmy się zasypani śniegiem na wysokość 5—7 metruw. Cała okolica podobnież zmieniła swuj wygląd. Wszelka komunikacja została zerwana. Na nieszczęście magazyny zawierały zapas prowiantowy tylko na ieden dzień. Transport, wiozący pszydział na następną dekadę, też prawdopodobnie zasypany został i zginął gdzieś w drodze. Sytuacja była tragiczna tymbardziej że armja kaukaska prawie nie dysponowała flotą powietszną i ryhłej pomocy nie należało się spodziewać. Powołałem komisję prowjantową, kturej zleciłem natyhmiastowe pszeprowadzenie rekwizycji wszystkih artykułuw żywnościowyh, nie wyłączaiąc moiego i oficerskih namiotuw. Powiększony w ten sposub zapas tegoż dnia ruwno podzielony i rozdany został oficerom, szeregowym i ieńcom. Każdy otszymał około 1½ kg hleba, ¼ kg mąki, ¾ kg owsa, 1 kg słonecznikowyh makuhuw i po 5 gr. cukru, herbaty, soli, poczym wszyscy hwyciliśmy za łopaty i... na drogę. W pierwsze 7 dni pszekopaliśmy się po linji starego szlaku 6 kilometruw, ludzie iednak słabli z dnia na dzień.

Nadomiar złego wśrud ieńcuw wybuhł tyfus plamisty, wgryzł się w cały obuz i codziennie po kilkanaście osub wydzierał z naszyh szereguw.

Konie pozjadały żłoby, powrozy, obicia namiotowe. Żaden kon nie miał gżywy i ogona, bo ieden drugiemu obgryzał ie z głodu. Padaiące taborowe konie kazałem gotować i mięso dawać wieżhowcom a te znuw szły pod nuż dla ludzi.

Orlik nie hciał ieść końskiego mięsa, żywił się śniegiem i moim wiklinowym koszem. Ia też nie mogłem koniny wziąć do ust, zwłaszcza że iuż od kilku dni nie miałem do niej ani szczypty soli ani kawałka makuhu.

Dwunastego dnia nikt iuż nie wyszedł do pracy, wszyscy leżeli wyczerpani bądź hoży. Ostatnie wieżhowce padły z głodu, został ieden Orlik. Jak cień lub mara hwieiąc się i słaniaiąc wyszedłem go odwiedzić — może po raz ostatni. Leżał biedak pośrodku obozowego dziedzińca smutnie wsparłszy głowę na wygżebanym pszezeń zpod śniegu dużym zimnym głazie. Ujżawszy mnie, zarżał, hciał się podnieść — iuż nie mugl. Myślące oczy iego wpiły się w mą tważ i iakby po pszyiacielsku muwiły: żegnaj, iuż na zawsze. Podałem mu trohę czystego śniegu, zwilżył ięzyk i począł lizać mi rękę.

— Nadeszła i nasza godzina! — to mówiąc, pszytuliłem się do iego szyi, pszyczym obejżawszy się, czy nikt mnie nie widzi, rozpłakałem się iak dziecko i zdaie się że nie mogąc wstać więcej, tam iuż pozostałem.

* * *

Wiem że żyię a nie mogę się ruszyć, nie mogę oczu otwożyć: słyszę iakieś szepty, rozmowy; czuię miły łehcący zapah doskonale upieczonej kuropatwy. Bezwolna głodowa pułmartwa oboiętność ustąpiła miejsca hęci połknięcia hoćby całego ptaka naraz. Hwytam węhem tę ożywczą woń, nabieram sił od niej i pszytomnieiąc, otwieram oczy: leżę w swym namiocie, na moim łużku, pszedemną stoi żywy Krauze, kompanijny kaszowar i podsuwa mi do ust tszymaną na rożnie, ociekaiącą z apetycznego tłuszczu gorącą kuropatwę.

— Sława Bohu że pszebudziliście się — powiada — iedzcie Waszmość tego kuraka, on was postawi na nogi.

— Co to? kuropatwa? — zapytałem.

— Kurak, proszę Waszmości.

Oderwałem kawałek, siadłem — dobra była, posiliłem się lekko.

— Iesteśmy odkopani — muwi dalej Krauze — ieszcze kilka godzin. pszybędzie pomoc, był iuż kurjer, odjehał, dwa pułki płastunuw pracuią dzień i noc na drodze, iuż są niedaleko. Iedzcie... tłusty, dobry kurak.

Posiliwszy się tą, moim zdaniem kuropatwą a kurakiem, iak twierdził Krauze, zasnąłem ieszcze na godzinę. Gdym się powturnie obudził, mogłem iuż wstać z łużka. Pszez okno ujżałem daleko na gurah zbawcze roie pracuiącyh łopatami płastunuw. Wyszedłem do kuhni obozowej. Podbiegł do mnie uradowany Krauze.

— Skąd wziąłeś dla mnie tego kuraka czy tę kuropatwę? — zapytałem ciekawie.

— To wrona była, proszę Waszmości ale Waszmość koniny nie iadł. więc obawiałem się że i wrony nie zehce, pszepraszam pszeto za cygaństwo ale my wszyscy toby Wam duszę własną oddali. Ot. pszelatywała wrona, udało się nam ustszelić z karabinu. Nawet hoży kszyczeli, żeby ią Wam oddać. Zehcecie rosolniku sprubować? dziś lepszy iest niż dawniej.

Zdjął z kotła olbżymią pokrywę. Z paruiącego rosołu wystawała duża końska goleń.

— To iuż ostatni zapas, proszę Waszmości, ostatnia noga Orlika.

Odwrucilem się i szybko odszedłem, by żołnież nie widział łzy swego dowudcy.

# KAPITAN SKSZYŃSKI.

Coś zawisło w powietszu. Wojna apatyczniała. Stołeczne dzienniki pszepełnione były długimi mowami opozycyjnyh posłuw Dumy Państwowej i krutkimi replikami mężuw stanu: „Wam potszebne są wielkie wstsząśnienia a nam potszebna iest wielikaia Rossiia". Nikt atoli poważnie nie myślał iuż o wielkiej Rosji. Z uha do uha podawano sobie codzień to nowe sensacje, kompromituiące „bogohranimyj" dom cesarski. Iak rozzbraiaiący parlamentarjusz trafił w okopy lekkomyślny hohlik, żartobliwie wytrącaiący wszystkim oręż z ręki błahą napozur ironją: „Gdy ruskih biią — car papa płacze, gdy niemcuw biią — caryca mama*) płacze a następca tronu, mały Aleksiej, to iuż stale płacze.

Na publicznej arenie ukazała się nadto rozkiełznana postać lubieżnego mniha Griszki Rasputina. Caryca zaięta była wyszywaniem mu koszul nocnyh, pijany car adorował baletnicy Kszesińskiej, wielcy książęta bawili się w kabaretah, więc kto miał myśleć o żołnieżu i wojnie? Wreszcie zabujstwo Rasputina, dokonane pszez dżentelmeńskiego księcia Iusupowa i z cesarskiego rozkazu umożone śledztwo od gury do dołu rozdarły zakulisową kotarę dworską i okazały zdumionemu ludowi ih nagie bożyszcza: car i caryca — bydło, skot!

Wybuhła rewolucja.

Pułki wyłoniły rady żołnierskie. Zaczęła się dezercja i bałagan. Oficerom zrywano odznaki, bito ih, linczowano. Ginęli poiedyńczo iak kury na szabas. Inteligencja rosyjska, nigdy nie pszeiawiaiąca zmysłu koordynacyjnego, z hwilą upadku caratu, iednocześnie straciła cały swuj autorytet. Władzę hwyciły tłumy. Moia generalicja znikła iak kamfora. Kilku koleguw padło rozstszelanyh na mocy zaocznego ożeczenia bądź tak sobie — dla zabawy. Widząc to wszystko, zdiąłem szlify i zacząłem pakować swe skromne manatki.

---

*) — niemka z domu.

Ordynans melduie mi że delegacja rady żołnierskiej prosi o pszyięcie.

— Wpuść ih do gabinetu, nieh tam poczekaią! — Włożywszy do prawej i lewej kieszeni nabite nagany, wyszedłem do nih.

— Czym mogę służyć panom? — zapytałem pułsłużbowo. Z pośrud pięciu nieznanyh mi wcale żołnieży, wysunęła się napszud iakaś z zezowatym okiem i z ryżą o żadkim włosie zastrupiałą głową kszywa zgarbiona pokraka a wyiąwszy zza mankietu szynelowego rękawa papier, odczytał mi uroczyście: „Sąd rewolucyjny i t. d. i t. d., za udeżenie w tważ toważysza szeregowca Mendelsona w dniu takimto a takim, skazał oskarżonego w trybie natyhmiastowego wykonania na karę śmierci pszez rozstszelanie".

— Parszywe żydy, sukiny dieti, wtył zwrot! — kszyknąłem, skierowuiąc w nih dwa szybko dobyte nagany. Delegacja, pomimo że była z karabinami i naieżonymi bagnetami, uciekła.

Za hwilę bżęczy telefon.

— Proszę.

— Tu muwi pszewodniczący rewolucyjnego sądu rad żołnierskih Rywkin—Orłow i pytam, dlaczego nie podpożądkowuie się pan wyrokowi rewolucyjnego trybunału?

— Dlatego że nie uznaię zaocznyh sąduw ani wyrokuw. Od wymiaru sprawiedliwości nie uhylam się a na wasze kule mam ieszcze dosyć swoih.

— Pan woli stanąć na sąd iawny?

— Ieżeli mi cokolwiek zażucacie, to nawet żądam sądu i iawnego pszewodu.

— W takim razie nieh pan pszybędzie, puki ieszcze są tu świadkowie i obrażony pszez pana toważysz Izaak Mendelson.

— Iuż idę.

W dużej świetlicy żołnierskiej pszy wzniesionym stole siedziało prezydjum t. zw. „ispołkoma".

— Iestem.

— Obecny tu toważysz Izaak Mendelson — zaczął Rywkin — oskarża was, toważyszu i t. d. i t. d....

— A czy pan — żuciłem, zwracaiąc się do Mendelsona — oznajmił sądowi wszystkie okoliczności, iakie fakt ten wywołały? Za co wuwczas pszed frontem kompanji na rannym apelu dostaliście w mordę odemnie?

— Ukradłem z powieżonego mi transportu dwa pudy masła.

— Proszę dodać: „i spszedałem w Karsie za 10 rubli w złocie i wruciłem piiany i o całą dobę spuźniony... czy tak?

— Tak toczno.

— Panowie! — zacząłem — skoro żołnież na froncie otszymywał dziennie tylko dwa zołotniki tłuszczu a ten pan w tak krytycznyh czasah, gdy niemal wszyscy zdyhaliśmy tu z głodu, ukradł nie z carskiej kazny a z koleżeńskiego stołu 7680 zołotnikuw — zapytuię, czy lepiej byłoby mu, gdyby miast mnie, iako dowudcy, 3840 koleguw biło iego mordę? czy może miałem takiego durnia pod sąd polowy oddawać, by go iak psa rozstszelano?

— Słusznie! — ozwało się moie tłumne zaplecze, w kturym dominowały znane mi też głosy szeregowyh moiej kompanji.

— Uniewinniony! — ożekł sąd iednomyślnie a zaplecze iak ieden mąż ryknęło: „nieh on komenderuie nami, dajcie mu dowudztwo!“

Odwruciłem się.

— Pszyiaciele! — ozwalem się donośniej — nie mnie się mieszać w wyroki dzieiowe. Ia iuż swą rolę dowudcy skończyłem. Dziękuię wam za uznanie i za zaufanie. Dzisiejszy wniosek wasz iest i na zawsze pozostanie dla mnie najhlubniejszą nagrodą. Wasza ojczyzna zawsze wielką była a dziś ieszcze iest większą, bo wolną iuż iest od tyranji bezpszykladnego satrapy. Iak nie skończyłaby się ta wojna, wy iuż ią wygraliście. Moia Ojczyzna, wszak wiecie iż iestem polakiem, dopiero zacznie swą wojnę. Warszawa, Poznań, Krakuw, Lwuw i Wilno ięczą pod butem teutońskim. Inny być musi teraz muj front.

— I my z wami! — kszyknął toważysz Krauze z tłumu, samarskij mużyk — kolonista ale szczery dobry hłop.

— Zostajcie zdrowi, ia dziś ieszcze zdaię służbę i wracam tam, dokąd mnie wzywa sumienie i obowiązek.

— Nieh żyie nasz toważysz — wudz! — tu hwycili mnie moi molojcy, podnieśli w gurę, pszenieśli pszez dziedziniec a wieczorem po pszyiacielsku żegnali mię, życząc najpomyślniejszej drogi do samej Warszawy.

W Tyflisie wżała walka o władzę pomiędzy Gruzinami a Ormianami, dalej do Baku napadali na pociągi Tataży, łupiąc podrużnyh ze wszystkiego, co iakąkolwiek pszedstawiało wartość. W Rostowie nad Donem oficerskie szkoły wojskowe, iako wierna carowi biała armja, po dziecinnemu usiłowała restytuować

swą pszyszłą karjerę, stważaiąc tylko trudności komunikacyjne i zamęt w kraiu.

Po tyh wszystkih etapah pszybyłem do Odesy, zaiętej pszez hajdamaczyznę. Z politowaniem pszyglądałem się tej pustej władzy, ograniczaiącej się do paradowania po Deribasowskiej ulicy w ruskih papahah z ukraińskimi kitami. Pamiętaiąc o kitah, zapomnieli o flocie woiennej w porcie. To też w tszy dni puźniej wystąpili na ląd bolszewiccy marynaże i kilku salwami wyparli precz z miasta te bezmyślne pawie. Zwycięska czerwona czarnomorska flota zaraz nawiązała kontakt z Petersburgiem, skąd już całkowicie tszęsł Rosją duumwirat Uljanow-Lenin i Lejba-Bronstein Trocki.

Zaczęła się okrutna żeź oficeruw. Patrole marynaży hodziły po ulicah, restauracjah, po domah i mieszkaniah, zewsząd wyciągaiąc byłyh wielkih ludzi i nie bacząc na żadne okoliczności odprowadzono ih na woienny statek „Ałmaz", skąd tegoż dnia bez żadnego sądu pszywiązywano im kamień do nug i żucano w može.

Siedzę w cukierni, piię kawę. Whodzi tszeh drabuw i zapytuią garsona o gospodaża.

— Siedzi pszy kasie — odpowiada hlopiec.

— Iesteśmy komisją do wymiaru i poboru kontrybucji za pszeciwrewolucyjny opur kupcuw i kamienicznikuw oraz kapitalistuw m. Odesy. Pan masz duży interes, pan iesteś burżuj, płać pan natyhmiast 1000 rubli, inaczej idziesz pan zaraz z nami na „Ałmaz".

Zdziwiony i niemniej wystraszony kupiec bez słowa protestu wyiął tysiąc rubli i wręczył ie komisji, ktura odhodząc zaznaczyła że iest to narazie pierwsza rata pszypadaiącej płatności.

Za kwadrans otwieraią się naoścież dżwi i wpada do cukierni inna banda w liczbie około 20 wyrostkuw. Iedni żucili się na gospodaża, wyrwali mu kasę, portfel z kieszeni, portmonetkę, inni poczęli łapać pudełka z pomadkami, ciastka, cukierki, serwety ze stołuw, platery i t. p. Byli to tak zwani „nalotczycy". Cukiernikowi coraz bardziej wyhodziły na wieżh iego i tak duże oczy ale nawet po tej drugiej wizycie, milczał, drapał się po głowie i coś mamrotał pod nosem, obawiaiąc się, aby nikt nie słyszał tego, co sobie tam mruczy.

Zdenerwowany wziąłem do ręki świeży numer najpoczytniejszej w mieście „Odeskiej Poczty", redagowanej w języku rosyjskim „pszez żyduw dla prawosławnyh". Między szpaltami kroniki czytam następuiącą odezwę:

„Odesa iak i cała matuszka Rossiia odethnęły nareszcie od iga znienawidzonej policji, sędziuw śledczyh, prokuratoruw i im podobnyh gnębicieli biednego ludu. Odzyskana wolność i swoboda pozwoliła zżeszyć się i światu pszestępczemu, ktury, posuwaiąc się na drodze kultury oraz zawodowego postępu, zawsze podzielał szczytne ideały rewolucji. Teraz dopiero ziściły się szlahetne dążenia naszyh boiownikuw o lepsze iutro i teraz dopiero my, prawny związek zawodowy, możemy iawnie zwracać się do was, obywatele i iako ruwni ruwnyh zaprosić was na nasz doroczny bal, ktury ma się odbyć w niedzielę na statku „Ałmaz".

Pszygrywać będzie orkiestra marynarki woiennej.
Struj balowy.

U w a g a : Aby goście nasi mogli z całym spokoiem opuścić w tym uroczystym dniu swoie mieszkania, związek gwarantuie że żaden z zawodowyh członkuw podczas danej doby nie tknie cudzego mienia, hyba że tak ohydnego czynu dopuściłby się kturyś z toważyszy niezżeszonyh, za kturyh związek nasz nie ponosi odpowiedzialności.

Z poważaniem

Profesjonalnyj Soiuz Prestupnago Mira.

— Ładnie się zaczyna — pomyślałem, wstsząsnąwszy się z obużenia. Kilka razy pszewracałem w rużne strony gazetę, dwukrotnie odczytałem to zaproszenie, oczom własnym nie wieżąc że podobny artykuł i to nie w dziale ogłoszeń a w kronikarsko-redakcyjnej formie może mieć miejsce.

Już hciałem wyhodzić, gdy na salę wszedł iakiś pszystojny iegomość, obżucił badawczym spojżeniem wszystkih obecnyh, iakby szukaiąc kogoś, podszedł do mnie, nahylił się i szepnął po polsku:

— Niebezpieczeństwo! uciekaj pan zaraz do Domu Polskiego! — Ani witaiąc się ani żegnaiąc, nieznaiomy wyszedł.

— Co to być może? — zastanawiało mnie mocno — skąd on wie że iestem polakiem? hyba zna mnie z Domu Polskiego albo może z frontu? — bez namysłu wyszedłem.

Na dużej teatralnej sali zastałem iuż ponad dwieście osub, pszeważnie byłyh wojskowyh. Iakkolwiek pszelotnie tylko znałem kilku z obecnyh, to iednak nie zdążyłem się z nikim pszywitać, gdy podniosła się kurtyna i na scenę wszedł kapitan Skszyński.

Był to poważny pszystojny mężczyzna. lat tszydziestu kilku, wysoki, brunet, krutko na ieża stszyżony, z ręką, widocznie bezwładną, na czarnym temblaku. Pomimo stosunkowo niewysokiej rangi i młodego wieku, pomimo polskiej narodowości i katolickiego wyznania, iako najdzielniejszy oficer kilkanaście razy ranny, piastował on wybitnie zaszczytną godność prezesa wszehrosyjskiego związku kawaleruw kszyża św. Ieżego, najwyższego orderu wojskowego. posiadaiąc wszystkie stopnie tegoż odznaczenia.

— Koledzy! — zaczął — pozwoliłem sobie w tak pilny i tajny sposub ściągnąć was tutaj, bo nie mamy hwili do stracenia. Dzięki pewnemu polakowi, pracuiącemu obecnie w bolszewickim sztabie „Rumczerodu", otszymałem fotografję depeszy tylko co nadesłanej z Piotrogrodu pszez Trockiego, nakazuiącej natyhmiast aresztować, rozstszelać lub potopić wszystkih oficeruw polakuw.

Tu mówca podał do obejżenia odbitkę fotograficzną, stwierdzaiącą identyczność słuw iego.

— Rodacy — ciągnął dalej — iuż prawdopodobnie wyruszyli bolszewiccy oprawcy na połuw naszyh braci. Nie mamy innego wyjścia — musimy ginąć ale ieśli mamy gardło i życie oddać, oddajmy ie wszyscy razem z honorem, iak na polakuw pszystało. Nie będą żnąć nas po iednemu. niby dzikie bydło na stepie lub zdezorjentowaną inteligencję rosyjską — pazurami, pięściami, kszesłami a unitis viribus bronić się będziemy do ostatniej kropli krwi. Ieden za wszystkih, wszyscy za iednego. W tym celu nawiązałem iuż kontakt z pszyhylnymi nam organizacjami i mam dzisiejszej nocy otszymać od nih broń, amunicję oraz żywność. Ieżeli zdążymy się uzbroić. zalegniemy tu, iak w fortecy. oczekuiąc konjunktur połączenia się z Dowbur-Muśnickim czy z legjonami Piłsudskiego.

Bracia! silny duh i męstwo żołnieża łamie niepszyiaciela, hoćby on nawet, iak w danym razie, tysiąckroć razy był liczniejszy. Ieśli nam tu i zginąć wypadnie, to dom ten iest Domem Polskim, tu zginiemy za te progi święte, za Orła Białego, za Ojczyznę! Ofiarnie pszelana krew nasza nie pujdzie na marne: zrodzi ona nowe zastępy boiownikuw o wolność, iak krew ojcuw-powstańcuw zrodziła nas. Pszysięgam wam że sztandaru o Polskę Zwycięską nigdy nie wypuszczę ze swej żywej ręki. Kto ze mną?

— Wszyscy! — huknęło na sali.

— Za Boga i Ojczyznę!

— Za Boga i Ojczyznę! — powtużyła sala.

— Tak nam dopomuż Bug! — kurtyna spadła.

Napływaiący z miasta nowi pszybysze coraz bardziej wpadali wystraszeni.

— Ledwie uciekłem — muwili.

— Oknem wyskoczyłem — twierdził ktoś z nih.

— Iuż na ulicy z pod karabinuw wyrwałem się — opowiadał inny.

Niebawem wyszedł kapitan Skszyński z kilku starszymi oficerami, podzielił obecnyh na oddziały według rodzaiuw broni, wyznaczył dowudcuw, zażądził warty a o godz. 2 w nocy szliśmy iuż kompanjami środkiem pustyh ulic gdzieś za miasto, w pola, pod las, daleko, nikt iednak nie wiedział, gdzie i poco?

Stanęliśmy nareszcie pszed iakąś odludną wielką stodołą, ktura na nasze pszybycie iakby sama się otwożyła i zaczęły wysypywać się stamtąd karabiny, bagnety, naboie, pasy, ładownice, szable, lance, karabiny maszynowe, taśmy, skszynie z granatami i t. p. Artyleżyści wytoczyli skądś kilka poluwek, wpszęgli się w nie, ciągnąc wesoło, iak do defilady. Automobiliści zaczęli majstrować koło dwutonnuwek, podczas gdy saniteci ładowali na nie zapas ekwipunku. Po godzinie wracaliśmy wszyscy uzbroieni i objuczeni amunicją.

— Oho, teraz nie zginiemy — myślał sobie każdy — iaka armja będzie w sile zmieżyć się tu z nami? Wszyscy po mistszosku władaią bronią, wszyscy zginąć hcą iak ieden pszy boku Skszyńskiego. Hej, Święty Boże, nieh nas ruszą tylko!

Rano władze bolszewickie iak i zdziwieni mieszkańcy nie mogli sobie wytłumaczyć, coby to być mogło? co za bezczelność? W samym centrum Odesy, cała dzielnica, gdzie znajdował się

„Dom Polski", otoczona była patrolami wojska polskiego, kture iakby z nieba spadło albo zpod ziemi wyrosło. Wszystkie wyloty ulic danej dzielnicy zamknęły dobże uzbroione pięcioosobowe pikiety. Na wysokim maszcie nad „Domem Polskim" iak na twierdzy dumnie powiewa biało-czerwona horągiew; kilkadziesiąt domuw wraz z ludnością podpadły pod iurysdykcję wojskowyh władz polskih: nikt obcy bez specjalnej pszepustki nie ma prawa pszeiazdu ani pszejścia pszez zaięty teren. Poszanowania tyh praw stszegą z dahuw, dymnikuw, balkonuw i okien gotowe do udzielania informacyj mitraljezy.

To też w ciągu tygodnia nikt nie miał ohoty bliższej z nimi rozmowy. Bolszewickie posterunki odsunęły się nawet nieco wgłąb miasta, bo nuż coś takiego a stszeżonego pono Pan Bug stszeże.

Na obszernym podwurku i w lokalah „Domu Polskiego" wżała bezustanna praca: wszyscy bez ružnicy szarży pełnili służbę wart i dyżuruw, odbywali ćwiczenia, czyścili broń, skrobali ziemniaki, rąbali dżewo, zamiatali i t. p....

Bolszewikuw denerwowało to „państwo w państwie" ale pszypuszczaiąc że nas tam iest kilka tysięcy, podczas gdy było tylko koło 300 hłopa, nie odważali się na atak. Może dla wywiadu a może dla zrewoltowania oddziału, poprosili o pszyięcie ih delegacji. Z zawiązanymi oczyma wprowadził ią patrol na podwurko, gdzie pozwolono im zdjąć zasłony.

— Toważysze! — zaczęli — cały proletarjat Rosji obużony iest waszą zdradą krasnego znamieni. Uwiedzeni pszez kilku carskih oficeruw, wroguw rewolucji, stanęliście pod ih komendą, narażaiąc się na to że żaden z was żyw stąd nie wyszedłby, gdyby tolerancyjna wyrozumiałość rad żołnierskih nie wybaczyła wam tego buntu o ile natyhmiast sami zwiążecie waszyh dowudcuw i wydacie ih rewolucyjnemu trybunałowi.

— Zlinczować szelmę! — ozwał się ktoś z nielicznyh słuhaczy a momentalnie cała delegacja leżała na ziemi, biorąc po dwadzieścia batuw na ryło i ięcząc wniebogłosy, ku uciesze obserwuiącej tę scenę cywilnej ludności. Po tak dyplomatycznej odpowiedzi, ponownie założono im pszepaski na oczy i wyprowadzono z exterrytorjalnej dzielnicy.

Bolszewicy nie dali za wygrane a ponieważ pszedewszystkim potszebny był im ięzyk, pszeto pewnego dnia niepostsze-

żenie pancernym autem wpadli na czołową naszą pikietę, odcięli odwrut, żucili kilka petard i uprowadzili ią w niewolę.

Otszymawszy ten smutny meldunek, kapitan Skszyński hwycił za mikrofon, wezwał do telefonu prezesa „Rumczerodu“*), oświadczaiąc krutko i stanowczo.

— Żądam /trebuiu/, aby w ciągu dwudziestu minut uprowadzona pikieta była na tymsamym miejscu w pełnym uzbroieniu, zrozumiał pan?

— A co będzie, ieśli ią punktualnie za 20 minut rozstszelamy? — usłyszeliśmy z indukcji.

— Zobaczycie, kamień na kamieniu nie pozostanie z waszego „Rumczerodu“, brońcie się! — Tu Skszyński położył na widełki słuhawkę a pszypasuiąc szablę, żucał ieden za drugim rozkazy:

— Ośm ciężarowyh aut do drogi! wziąć 6 karabinuw maszynowyh! załadować 240 ludzi, zabrać po 200 ładunków i po 4 granaty! — pozostali — na wzmocnienie posterunku! ostre pogotowie rezerwy!

W 10 minut warczały iuż ciężkie maszyny, obsadzone po 30 ludzi z dowudcami na pszedzie. Ieden Skszyński obiegał ieszcze linję, daiąc ostatnie zażądzenia:

— I-szy pluton zaiedzie boczną ulicą, otwoży, wyłamie lub rozbiie pszeciwległą bramę, wkroczy na tylne podwurko, opanuie oficynę i z okien zażuci wyższe piętra granatami!

II-gi pluton udeży od Ryszeljewskiej i Puszkińskiej ulic, zamykaiąc dostęp na Nikołaiowski bulwar.

III-ci pluton zaalarmuie straże ogniowe a gdy nadjadą, opanuie samohody, konie i spszęty — będą potszebne.

IV-ty pluton zamknie od moża dostęp śpieszonej marynarce.

V i VI-ty pluton udeżą zfrontu. O ile nie uda się wpaść shodami na piętra, wyzyskaią drabiny strażackie.

VII-my pluton zamyka Iekatierinińską ulicę.

VIII-my pluton stanowi rezerwę, osłonę odwrotu i sztab akcji pszy pomniku Katażyny.

Ruszaj! —

*) — Rumuńsko - Czarnomorskie Oddziały.

Ieszcze mocniej warknęły maszyny i wuz za wozem potoczył się napszud. Tylko co wyiehaliśmy z naszej dzielnicy, gdy pszed nami pośrodku ulicy zamigotały polskie lance.

— Nasi, nasi! vivant! — kszyknął pierwszy pluton. — Pikieta podbiegła, krutko raportuiąc poprawne zwolnienie iej pszez „Rumczerod".

— Czy bili was? — zapytał Skszyński.

— Nie bili, oddali broń, pszeprosili i kazali biegiem szorować do koszar.

— Zawracać. — skomenderował Skszyński — tak tylko gadać można z tymi psubratami.

W tydzień puźniej niespodziewanie bez oporu wkroczyły do Odesy wojska austrjackie, pszepędzaiąc artyleryjskim ogniem ostatnie w popłohu uciekaiące bolszewickie okręty i hydroplany.

Skszyński wszczął pertraktacje z okupantami odnośnie utszymania autonomji naszej formacji. Austrjacy też zażądali złożenia pszez nas broni. Skszyński skutecznie protestował.

Nie widząc dalszej racji pozostawania w oddziale, począłem myśleć o powrocie do kraiu.

# POKŁOSIE.

Tszeba pszyznać, że żniwo kampanji 1914—1918 r. udało się iego siewcom. Miljony poległyh, kałek, wduw i sierot życiem, krwią i nędzą zamknęły czarny bilans Wilhelma Szalonego. Nieh dalej czczą go Niemcy, nieh wybaczy mu nawet cały świat ale nieh szatan ten zostanie w pokłosiu moim tak długo, aż sam pszyzna że tu istotnie najmniej zawinił, bo wszak to tylko... pokłosie.

* * *

Pobieraiąc na froncie miesięczną gażę a zadawalniaiąc się skromnym polowym utszymaniem, lokowałem oszczędności w Odeskim T-wie Wzaiemnego Kredytu i w Azowsko-Dońskim Komercyjnym Banku w Odesie. Gdy bolszewicy odbili miasto ukraińcom, pszedewszystkim opanowali państwowe i publiczne instytucje a tymsamym i banki. Ministrem względnie komisażem finansuw mianowany został toważysz Ruzer, kturego pierwsze zażądzenie polegało na tym że bez iego podpisu nie mugł być uskuteczniony żaden zwrot hoćby najmniejszyh wkładuw oszczędnościowyh. Maiąc zamiar wrucić do kraiu, nie hciałem zrezygnować z uciułanej rezerwy, odpowiadaiącej sumie około dwustu dolaruw. Pszyhodzę z książkami czekowymi do komisarjatu finansuw i zastaię tam kolejkę najmniej tszystu osub, ciągnącą się z tszeciego piętra pszez shody i sień aż na ulicę. W kolejce stoią pszeważnie kobiety, biadaiące między sobą że iuż od tygodnia sterczą tu codziennie i nie mogą uzyskać zezwolenia na podjęcie hoćby kilkudziesięciu rubli, tak ciężko zapracowanyh a howanyh na najkrytyczniejszą godzinę. Pożądku stszegł oddział krasnoarmiejcuw, uzbroionyh w naieżone bagnetami karabiny i pszepasanyh nakszyż amunicyjnymi taśmami mitraljez. Byli

małomuwni a nawet wyrozumiali dla osub, hwieiącyh się ze zmęczenia w rosnącym wciąż ogonku. Wyhodzącym interesantom nie pozwalali zatszymywać się ani rozmawiać z oczekuiącymi, nie tyle by nie robić tłoku, ile aby nie wywoływać masowego obużenia.

Iak dalece nawet bagnet liczyć się musi z siłą bezbronnego tłumu, miałem możność stwierdzić, gdy prawie tuż pszedemną iakaś inteligentna w żałobie kobieta, wybiegaiąc po skończonej audjencji, z hukiem tszasnęła dżwiami za sobą a roztrącaiąc torebką krasnoarmiejcuw, kszyczała pszez łzy:

— Żydy parszywe, piętnastu rubli oddać nie hcą wdowie, gdy dziecko mi kona i na lekarstwo nie mam. Idę po nuż, zabiię tego psa, parha Ruzera lub siebie i dzieci!

Krasnoarmiejcy usuwali się iej z drogi, bo czuli że nie z artystką mieliby tu do czynienia a ze zbolałą matką. Rozpacz iej nasunęła mi myśl że poco właściwie ia czekam? wszak ieśli biedna wdowa iedynyh piętnastu rubli na lekarstwo dla konaiącego dziecka nie otszymała, to czyż ia mogę myśleć o rewindykacji aż kilku tysięcy rubli? Ale kszywda matki targnęła mną do głębi. Upiorem tszeba być, by odżucić iej prośbę.

— Pujdę!

Ia inaczej rozmuwię się z nim. Znuw iakaś postać wypadła z pszekleństwem i dżwi się pszedemną otwarły.

W dużym pokoiu zasłanym dywanami siedział pszy biurku młody gudłaj-żydłak, sekretaż Ruzera.

— Proszę mnie zameldować p. komisażowi Ruzerowi.

— Pan zapewne w sprawie wkładuw oszczędnościowyh, ia te sprawy załatwiam.

— O nie, mam bardzo tajną i pilną sprawę wprost do p. Ruzera.

— Takih tajnyh i pilnyh interesantuw znam więcej. Komisaż Ruzer zaięty iest ważniejszymi sprawami i nie pszyjmie was, toważyszu.

— Nie pańska żecz, pszyjmie czy nie pszyjmie. Proszę mię zameldować konfidencjonalnie. Hcę mu dać zeznanie o miejscu zakopania kasy mego pułku. 120.000 rubli w złocie i to tu w Odesie, sam ie zakopywałem łącznie z pułkownikiem.

— Melduię.

Po hwili wyszedł ze swego gabinetu Ruzer, zwykły kapelusznik odesski, istotnie ordynarny żyd i parh a obżuciwszy mię zdala pszenikliwym wzrokiem, zaprosił gestem do gabinetu, wypraszaiąc iednocześnie stamtąd tegoż sekretaża.

— Rad iestem — zacząłem — że mogę muwić z panem w cztery oczy. Zdradzę panu wielką taiemnicę lecz ieśli tu kto wejdzie lub pan iedno słowo piknie, ginie pan z moiej ręki iak muha, iak komar! Zehce pan natyhmiast własnoręcznie kontrasygnować te dwa moie czeki, w pszeciwnym razie — tu powstałem z kszesła — iuż leci pan razem z tym oknem na bruk z tszeciego piętra a ia oddaię się do dyspozycji pańskih czekistuw.

Drżącą ręką Ruzer podpisał oba czeki i zaznaczył że tylko w tym wypadku będą one wypłacone pszez banki, ieśli nikt w Odesie nic nie będzie wiedział o naszej obecnej konferencji.

— Zgoda! — odparłem — lecz proszę pamiętać że czeki te wystawione są na okaziciela i kto inny zainkasuie ie, bym mugł ponowić spotkanie z panem w razie iakiegokolwiek zawodu.

— Ia panu daię słowo honoru komisaża finansuw, to panu powinno wystarczyć.

— Wystarcza. Nazaiutsz rano oba banki do grosza wypłaciły mi posiadane wkłady.

Gdy w kilka dni puźniej do Odesy wkraczały wojska austrjackie, lżej było mi patszeć na uciekaiących bez boiu bolszewikuw i im ruwnież bez moih pieniędzy zdaie się lżej było, bo wiali iak wiatr, iak kamfora. Zwinnie podprowadzona artylerja do portu kilku ostrymi salwami pophnęła w może widnieiącą ieszcze na horyzoncie flotę morską i powietszną, oznajmiaiąc tymsamym miastu że odtąd znajduie się ono w dyspozycji cesarsko-krulewskiej komendantury placu.

Wygalowana w sute czarne piuropusze żandarmerja obsadziła ważniejsze posterunki i zaczęła się boczyć na mundury polskiej formacji wojskowej, nie rozumieiąc, iakie prawo bytu może mieć tutaj wojsko polskie, skoro wogule nawet w Galicji niema Polski, polskiego krula ani polskiej Gendarmeriecommando. Nie usiłuiąc bynajmniej pozyskać tyh tumanuw dla naszej sprawy, odmeldowałem się w Domu Polskim i pierwszym towarowym pociągiem wojskowym odjehałem w stronę Lwowa a po tygodniu o godzinie 3 rano wysiadłem w Kielcah.

Był to pierwszy dzień Wielkanocy 1918 roku.

Wskoczyłem w pierwszą z bżegu dorożkę i kazałem prędko, prędko iehać do Dymin. Wiedziałem że tam w domu moim nikt nie śpi: ojciec czuwa z pewnością a z nim bracia i siostry też tęsknią, boć taki szmat czasu, żadnej wiadomości, więc niewątpliwie na Wielkanoc, właśnie dziś — on — wruci!

— On koha dom — myślą tam pewnie — on wie, iaką radość sprawiłby nieutulonemu ojcu i nam wszystkim. O, ieśli żyw tylko, ieśli tylko żyie, on dziś pszyiedzie, z hmur spadnie a będzie pszy święconym iajku, w gronie tyh najbliższyh, kturyh bardzo koha i kturzy iego też mocno kohaią.

I istotnie. Nigdy tak nie niecierpliwiłem się, iak wuwczas iadąc dorożką, dorożką, ktura kiedyś wydawała mi się szybkim eleganckim poiazdem a dziś szkaradnym wehikułem, wlokącym się noga za nogą, iakgdyby ten dorożkaż na złość hciał mi robić że nie pędzi wihrem, błyskawicą. Żułwim truhtem miiamy ul. Czystą, Ogrodową, Krakowskie rogatki, cmentaż, pszed kturym zdjąłem kapelusz, składaiąc najwdzięczniejsze wspomnienia spoczywaiącej tam matce i wyrażaiąc żal serdeczny z powodu iej nieobecności na tak niezwykłej allelui, ktura za hwilę, za hwilę nastąpi.

Pszeieżdżaiąc pagurki Baranuwka, znuw mię dorożkaż zasmucił, zwalniaiąc tempo iazdy. Hciałem wyskoczyć i biec pieszo ale dobroduszny wygląd woźnicy nie pozwalał mi dopingować starca, dla kturego byłem tylko takim pasażerem, iakih kilkudziesięciu codziennie on wozi.

Zjeżdżaiąc do Dymin za lasem, dziwnym niepokoiem zabiło mi serce: iuż zdala dom muj wydał mi się iakimś zaniedbanym, nietakim. Wpadam na ganek, stukam... nikt nie otwiera, nikt ku dżwiom nie śpieszy, nie słyszę ruhu, nikt nie wygląda pszez okna... stukam ieszcze raz i ieszcze, aż po kilku minutah dowiaduię się że ojciec muj pszed paru tygodniami umarł a rodzina wyprowadziła się do Kielc...

Kilka zamienionyh zdań, ciężkih iak los sierocy, odżuciły mię z miejsca, do kturego w wibrah całej duszy tak bardzo, bardzo śpieszyłem.

O, iakżesz inny był muj powrut do miasta! Iak ptak szerokih stepuw, wracaiąc z pożywieniem do głodnyh swyh piskląt, zostaie pszeszyty tuż nad gniażdem stszałą ukrytego w szuwarah łucznika, tak i ia runąłem nazad do powozu a raniony ciosem, anim się spostszegł, gdy muj wehikuł znuw miiał tenże cmentaż,

gdzie pszed godziną modliłem się gorąco za maiącą być dziś nieobecną matkę. Kazałem stanąć. Hwiejnym słabym krokiem poszedłem na iej grub. gdzie pod wspulnym pomnikiem ujżałem drugą, świeżą ieszcze, iak dziś usypaną mogiłę, na kturej wyraźny napis:

ś. † p.

Tomasz Kaspszycki

i t. d.

zwalił mię z nug i na długo odebrał mi ruhy i mowę.

Iak paralityk pszybity do ziemi, zaryłem się zbolałą duszą wgłąb grobu... do ojca, aż mi się wydało że zbudziłem go, że wstał, rozwarł ramiona... hwycił mię... uściskał... że wszystko wybaczył i darował wszystko. Dobże mi tam było. hciałem zostać z nim razem i zostałbym może lecz wschodzące słońce ranne. dbałe o każdą iskrę życia ziemskiego, pszypomniało mi że wszak ten czuły ojciec zapyta mię pewnie i o los młodszego rodzeństwa, gdzie ono?... siostry, bracia?... czy żyją... czy uczą się... czy są dobrymi ludźmi... a co mu odpowiem?...

Zawstydzony wstałem, ieszcze raz ucałowałem tak święte mi mogiły i poiehałem do miasta. Pierwszy z zapytanyh pszehodniuw wskazał mi adres zamieszkania rodziny Kaspszyckih.

Była godzina 7 rano, gdy ciho iak duh wszedłem do małego mieszkanka, powitany spontaniczną wżawą pięciorga rodzeństwa: „Edzio, Edzio pszyiehał!“ Żuciło się to wszystko ku mnie i radość ta nie miałaby końca, gdyby iuż po kilku sekundah tważe wszystkih nie odwruciły się ku kątom a iedna wspulna myśl nie pytała: „Gdzie ojciec?“ Długo żadne z nas nie mogło słowa pszemuwić ani łez powstszymać, długo brakowało sił komukolwiek pszeciąć tę tragedję. aż dopiero z trudem, pozuiąc spokuj, pierwszy się ozwałem:

— Na iaką horobę zmarł ojciec?

— Na tyfus plamisty — objaśniła najmłodsza Alina — w więzieniu się zakaził. Zażucali mu szpiegostwo tak austrjacy iak i moskale. Gdyby nie ksiądz kanonik Gawroński, ktury interwenjował u najwyższyh władz i domagał się zwolnienia tatusia, to pewnie w więzieniu byłby i umarł. Ks. Gawroński dotąd hodził i tak wytykał woiennym komendantom że więżą najniewin-

niejszego w świecie człowieka, aż pszyśpieszyli śledztwo i wypuścili biednego tatusia, iednak tak osłabionego iż musieliśmy go odwieźć do szpitala, skąd iuż więcej nie wrucił. Pohowany obok mamusi. Ks. Gawroński bezinteresownie exportował ciało i wszyscy twoi koledzy księża i klerycy.

— Co mianowicie zażucali ojcu?

— Austrjacy oskarżali tatusia że ty służysz w wojsku rosyjskim a moskale... że Mietek w legjonah.

— Czy nie macie lepszyh ubrań? Dziś święta Wielkanocne.

— Nie mamy — wciąż dalej wyiaśniała Alina. Nawet do ogrudka wyjść nie możemy, siedzimy boso, bez bucikuw, wpisy szkolne nieopłacone, podręcznikuw ani zeszytuw niema za co kupić. Mietek dawal w dzień korepetycje a w nocy hodził na tor koleiowy po niedopałki węglowe od lokomotyw, bo nam zimno było i na hleb nie starczało.

— Kohani! — żekłem, wyjmuiąc z kieszeni moie oszczędności — bieżcie co mam. Zaraz po świętah zakupić wszystko co tszeba, opłacić wpisy i wszyscy do szkoły!

* * *

W czasie kilkudniowego odpoczynku obserwowałem zmiany, iakie kilkuletnia wojna spowodowała od dnia moiego wyiazdu. Nie poznawałem okolicy, rodzin ani ludzi. Wandalizm okupantuw iaskrawo przeiawiał się na każdym kroku. Bogate lasy świeciły gołymi porębami: po wsiah otworem stały puste stodoły i hlewy: tysiące ludzi pędzano na bezpłatne pszymusowe roboty; bezczynne fabryki, obdarte z miedzianyh armatur i maszyn, raziły oko okropną dewastacją: robotnicy żywili się hwastami i korą dżewną: wokoło drożyzna i głud, tyfus i zarazy; nadto pełne najgodniejszyh obywateli więzienia podsumowywały rezultat okupacyjnego rabunku nienasyconyh teutonuw i ih wielkiego mistsza Wilhelma Szalonego.

# OJCZE!...

*Ileż w tym słowie treści i ogromu?...*
*wybacz mi, ojcze, nie powiem nikomu —*
*Bogu nie powiem żeś ty moim Bogiem...*
*bo ieśli żyię, żyię w szczęściu mnogiem,*
*komuż zawdzięczać mam to wszystko, komu?*

*Tyś pierwszy wzniusł mię, oderwał od ziemi;*
*uczyłeś patszeć oczyma innemi;*
*wgurę kazałeś wzbiiać duhem ciało,*
*aż mi tu duszno i ciasno się stało,*
*aż zapragnąłem pszestszeni... pszestszeni!...*

*Lecąc... wiedziałem, gdy spoczął Mars zbrojny*
*że i ty mnie czekasz tęskny, niespokojny;*
*że słuh twuj czuwa u bramy, u progu*
*a wzrok wysoko wzniesiony ku Bogu*
*błaga o ryhły powrut syna z wojny.*

*Stukam... milczenie!... hoć to w nocnej poże,*
*iednak taka cisza tutaj być nie może...*
*hory?... wyiehał?... wreszcie czyieś ruhy...*
*słyszę głos iakiś, nieznany mi, suhy:*
*— Zaczekać, zaraz... zaraz dżwi otwożę.*

*— „Gdzie ojciec?" — pytam. — „A czyj ojciec, panie?"*
*— „Muj... iam Kaspszycki!..." — „Wieczne spoczywanie!...*
*iuż inni tu mieszkaią a on... iest umarły...*
*dawno też sąsiady po nim łzy otarły,*
*bo dobrym był człowiekiem, miał poszanowanie;*

*pono śmierci iego iedyna pszyczyna,*
*iak muwią, była wielka tęsknota do syna...*
*pono umieraiąc modlił się za pana*
*a błogosławiąc drogę, ktura dana*
*będzie wam z nieba... skonał ojcowina..."*

*— Dość, szlahetny starcze, dzięki ci i za to;*
*sen takiego ojca nie iest dla mnie stratą...*
*on nie umarł — żyie!... dla was iest umarły...*
*umieraią tylko pełzaiące karły,*
*nie orły słońc świecącyh tym i tamtym światom!*

*Ojcze, co tak hlubnie zmogłeś losy swoie*
*a iażmem ojcostwa pszebiłeś podwoie*
*niebios... widzę cię, widzę... nie zboczę z tej drogi,*
*iuż idę, pszebrnę wszystkie ciernie, głogi,*
*by dodać, co Bug nie dał ci za serce twoie!*

# ZUPACY.

Zupacy nie są żadnym odrębnym narodem ani iego odmianą iak np. słowacy, ślązacy, krakowiacy, stanowią tylko pewien narost, podobny żywemu mięsu, sztucznie wyhodowanemu pszez Wiedeń na zdrowym organiźmie dawnej Małopolski. Od czasu pszyłączenia Polski do Galicji, narost ten szczęśliwie pszeszczepiony został na wszystkie inne dzielnice i ślicznie dotąd wszędzie się hoduie.

Rozklekotana Austrja, czuiąc iuż pszedśmiertny swąd pod sobą a pragnąc iednak dogodzić w okresie wspulnyh miodowyh miesięcy swemu nowożeńcowi Karolowi II-mu, postanowiła per fas i nefas pszedewszystkim na terenah okupowanyh zlikwidować Polską Organizację Wojskową i naturalnie Legjony. Znana obława Lubelska ruszyła naszą wiarę i niemal wszyscy musieli się „pszemeldować". Iednemu z nih, w najkrytyczniejszym dlań momencie, wręczyłem muj „pas" i tszeba nieszczęścia że z tym „pasem" wpadł iak sztubak, nie zapoznawszy się upszednio z wypisanymi tam generaljami. W kilka dni puźniej dwuh żandarmuw ze szpikulcami na karabinah zgłosiło się i po mnie.

— Panowie pewnie znaleźli muj „pas!" — kszyknąłem uradowany.

— Owszem — odpowiedzieli — ale tymczasem daj pan swoie ręce — tu hcieli założyć mi kajdanki.

— O, tego nigdy nie będzie! Ieśli mi zaraz nie oddacie moiego „pasu", iutro go tu uroczyście odniesiecie, oto dowud... — Pokazałem im pszedwczorajszy numer użędowego piśmidła miejscowego Kreiscommando, posiadaiącego ogłoszenie o moim lamencie z powodu zagubienia „pasu".

— Możliwe to ruwnież ale musi pan pujść z nami zaraz „na Komendę".

— Pujdę, tylko nie z panami. Będę tam za 10 minut, tymczasem żegnam panuw — to muwiąc siadłem pszy oknie i zacząłem czytać pierwszą z bżegu książkę. Żandarmi, pomyślawszy trohę, wyszli.

„Na Komendzie" zaproszono mię do „pokoiu od podwurka".

— Kłamiesz pan — ryknął żandarm-protokulant — ty nie zgubileś pasu a dałeś go zdrajcy naszej ojczyzny, dezerterowi z cesarsko - krulewskiej armji i politycznemu zbrodniażowi, pujdziesz pod sąd woienny, kula w łeb ci będzie. Gdyby on był nie uciekł w Dęblinie na stacji naszej żandarmerji, wisiałby już pewnie a tak ty, sakramencka, zawiśniesz tu zaraz — i hwycił mię za gardło, zmieżaiąc się do udeżenia pięścią.

— Zaraz, zaraz! — pszytszymałem mu rękę — poczekaj pan, najpszud wolnego, puźniej oberka... Proś pan tu zaraz pańskiego rotmistsza albo sam pisz pan depeszę do Wiednia, wprost do Iego Cesarsko-Krulewskiej Mości Krula Karola II-go.

— Ha, ha!... skąd to takie pokrewieństwo?

— Milcz pan! Iestem na „ty" z tszecim nieślubnym synem Franciszka Iuzefa t. i. z bratem arcyksięcia Karola.

— My słyszeliśmy tylko o iednym nieślubnym synie Iego Cesarsko-Krulewskiej Mości ś. p. Franciszka Iuzefa.

— Pszyiaciel muj lepiej wie niż pan. Proszę zameldować rotmistszowi że hcę znać pańskie i iego nazwisko. Odpowiecie mi obaj za waszą znaiomość stosunkuw dynastycznyh i za wasze baciarskie użędowanie.

Zbity z ruwnowagi żandarm udał się do gabinetu szefa a po sztabowej naradzie inny zupak, już z tszema gwiazdkami na kolnieżu, zwrucił mi muj zgubiony pas i na pożegnanie tszykrotnie salutował, waląc posłusznie w kopyta, iak każdy inny bydlak austrjacki.

# PSZODOWNIK KIEWLICZ.

Ieszcze nie skszepła krew wielkiej wojny na polah i zagonah naszyh, nie rozwiały się ciężkie opary z nad licznyh poboiowisk, nie pszysypano wszystkih mogił, nie zabliźniły się świeże rany, gdy znużony żołnież polski na alarm trąbki znuw staie do apelu. Najbliższy nam pobratymiec rus, roziuszony wewnętszną rebelją domową, naoślep wykonuiąc plany berlińskiego sztabu, zdradnie żuca pionącą żagiew własnej katastrofy i na strzehę sąsiedzką. Wyczerpany lecz zawsze czujny dzielny Leh mężnie podejmuie tę napaść i iak azjatycką dżumę odżuca ią hen aż za Kiuw.

Wojna iednak iak kohanka zawsze zmienną być może. Wczorajsze zwycięstwa nieobliczalnie pszekreśla iutszejsza klęska a z nią pada zdrowe ziarno, lecą z wiatrem plewy, załamuie się front i znuw... Hannibal ante portas!*).

Niepszyiaciel zajmuie Baranowicze, Wilno, Grodno, Białystok a oszołomiony sukcesem, iak czerń tatarska, iak horda Dżyngishana, iak Atylla psze dalej.

Było źle. Iak kto mugł, iak kto umiał, śpieszył na pomoc zagrożonej Ojczyźnie. Wielu dokonywało cuduw męstwa, wiele bohaterskih porywuw i ofiar uszło uwagi pobieżnyh biuletynuw woiennyh, bo ktuż iest w stanie oddać to wszystko, co działo się wuwczas w ogniu obywatelskiego patrjotyzmu? Nie będę pszytaczał tysięcy pszykładuw mniej lub więcej znanyh — ale pszypomnę ieden może z najliczniejszyh, bo wcale nieznanyh, takih ot drobnyh wypadkuw w iednym z odciętyh pszez niepszyiaciela kątuw tonącej iuż Rzeczypospolitej.

Żałuię bardzo że będę musiał niekiedy własną osobą odrywać czytelnika od głuwnyh bohateruw ale natręctwo moie o tyle

*) — Hannibal pszed wrotami!

iest nie do uniknięcia że inaczej niezrozumiałą żeczą byłoby, autorowi znane są tak drobiazgowe szczeguły i fakty.

*   *   *

Było źle. Po wzięciu Grodna, niepszyiaciel forsownym marszem parł dalej na zahud, na Łomżę. Całej Suwalszczyźnie groziło ryhłe odcięcie.

Iako Komendant Policji Państwowej powiatu Sejneńskiego, samożutnie wraz z powieżoną mi załogą służby bezpieczeństwa cywilnego, oddaię się do dyspozycji władz wojskowyh.

Dowudca garnizonu Suwalskiego pułkownik O., bardziej widocznie zaięty polityką niż frontem, wyiehał „sobie“ w tak krytycznej hwili do Warszawy. Zastępuie go podpułkownik M., ktury znuw „bez szefa“ nic robić nie umie, czy może nic mu robić nie wolno.

— Na miły Bug! — dopominam się — dajcie moiemu oddziałowi odcinek lub iaką inną robotę, inaczej bowiem twożę własną partyzantkę — nie będę stał tu bezczynnie. Zastępca podpułkownika M. maior Z., „doskonale znaiący dawne austrjackie i wszystkie inne pszepisy“, po dłuższym namyśle zaopinjował że w takih warunkah można policję państwową pszeiąć „na pszypszączkę“ do żandarmerji polowej.

Pomiiam, co i iak tam dalej było, grunt że w kilka dni leżę iuż ze swoim oddziałem w pierwszej tyraljeże pod zaiętym pszez bolszewikuw Graiewem, maiąc obok siebie tak dzielnyh policjantuw, iak pszodownik Kiewlicz, posterunkowy Iewczerys, Małek i inni. Oczekuiąc lada hwila starcia, radość spełnianego obowiązku rozpiera nas wszystkih, gdy naraz otszymuię rozkaz natyhmiastowego cofnięcia się wraz ze spieszonym szwadronem rotmistsza Iełowickiego, ponieważ „sztab“ zadecydował nie zaczepiać nacieraiącego na nas korpusu a pszejść na terrytorjum neutralne Prus Wshodnih, gdzie iakiś plebiscytowo-koalicyjny dygnitaż, włoh, zagwarantował wyiednać nam u niemcuw wolny pszemarsz pszez Prusy znuw na teren polski.

Nie mogąc ponosić odpowiedzialności za ewentualną stratę oddziału, poczas gdy około 2000 regularnego żołnieża posłusznie cofa się iuż, musiałem też zawrucić do Ejtkun, gdzie po haniebnym złożeniu niemcom broni, z całą naszą „generalicją“ na czele.

zostaliśmy pszez nih wszyscy manifestacyjnie popędzeni do miasteczka Arys.

O, pszepraszam, nie wszyscy. Bydło tylko wojskowe i cywilne niemcy pognali a ci, co zasłaniali bydłu temu odwrut, t. i. rotmistsz Kszyżanowski z kilkunastu swymi ułanami, zorjentowawszy się w głupocie rodzimego „sztabu", w słabości powagi koalicyjnej i w podstępie niemcuw, nie dał się gnać iak bydło.

Wbrew haniebnym rozkazom, samowolnie ruszył on w tył na pszebuj i całą mocą rycerskiej swej duszy ślepo udeżył w zwarte kolumny kozackih dywizyj a iak śnieg, taiąc w wihsze nieruwnej walki, padł ostatni, rozniesiony szablami w stszępy i kawałki.

Cześć ci wielki nieśmiertelny synu Ojczyzny! — słowa te iak rużaniec powtażałem ciho ze wstydem, bo czyż bydlę może głośno czcić cnotę, męstwo, nieśmiertelność?

Lecz nie koniec wstydu, o nie koniec ieszcze. Tszeba było widzieć, iakto powoienne niemcy, ih schutze i grenze tu dopiero kompensowały sobie zawiedzione nadzieie niedoszłego zwycięstwa. Zdzierano naszym oficerom płaszcze i mundury, brutalnie grabiono, co się tylko dało a ilu pszy rewizji wprost spoliczkowano — nieh to zostanie lepiej taiemnicą.

Pszyjżyjmy się teraz obozowi ieńcuw. Oto niepszytomny dowudca iakiegoś etapu czy komendy uzupełnień z Suwałk pułkownik Rodziewicz, z trudem pszetransportowawszy na stronę niemiecką żonę z bębnami, niańkę, kołyskę, kilka materacuw, pościel, cały wuz gratuw staryh, naczyń glinianyh i coś tam ieszcze z necessarjuw ogniska domowego, pięćdziesięcioletni stażec ten, czuiąc się wprawdzie bezpiecznie w niemieckiej gościnie ale nieco niewygodnie, obużył się że podpułkownik M. iako dowudca całości, otszymał lepszą celę od niego i... „zaiawił..." że on tu teraz „komandir", bo on iest pszecież „połkownik". Podpułkownik M. i maior Z. (tu iuż bez namysłu) nietylko hętnie zżekli się dotyhczasowyh lauruw dowudztwa ale bezzwlocznie wezwali cały korpus oficerski, składaiący się z kilkudziesięciu osub i w naszej obecności formalnie pszekazali temu idjocie władzę, honoruiąc szarżę oraz iej starszeństwo. Nie wiem, na czyj wniosek ale pułk. Rodziewicz w inauguracyjnym rozkazie podał nam iako wzur dyscypliny piękny postępek podpułk. M. i mai. Z. pszyżekaiąc że o tym dowodzie loialności natyhmiast złoży raport pszez konsulat polski Naczelnemu Dowudztwu w Warszawie.

— Koniec świata! — myślę sobie — mamy wojnę wygrać pszy takih talentai., unieruhamiaiącyh tysiące żołnieży, podczas gdy nad Wisłą walka hyba wżeć musi, bo pszecież Polska nietylko z byłyh carskih i austrjackih pułkownikuw się składa. Ma ona patrjotycznego robotnika, ofiarnego inteligenta, wytrwałego wieśniaka a kobieta-Polka, toż iest tygrysicą wolności i męstwa. Czyż teraz pod Warszawą też tak iest iak tu?



— Los, los, heraus! — ozwały się głosy na korytażah, pszerywaiące mi smutną zadumę.

— Los! — wżasnął niemiec, wskazuiąc palcem na dziedziniec, gdzie codzień stawaliśmy do apelu i kontroli. Z dziedzińca pognano nas na dwożec koleiowy, zapakowano w kilka pociąguw i pszewieziono pszez Krulewiec do Piły, gdzie cały transport pszyięła eskorta reichswehry. Załadowała ona nas iak śledzie do towarowego statku i wzięła kierunek na Świnoujście. Pozycja eskortowa reichswehry „na gotuj broń!“, surowy zakaz wyhodzenia na pokład i nieproporcjonalnie pułnocne zdystansowanie Gdańska dostatecznie wyiaśniały, dlaczego niemcy obrali drogę morską a nie lądową. Obawiali się buntu. Z Świnoujścia pszewieziono nas do westfalskih obozuw koncentracyjnyh w Minden, gdzie w błokah prowizorycznyh barakuw niedawno ieszcze więziono tysiące ieńcuw francuskih, angielskih i amerykańskih. Szereg napisuw i notatek na ścianah publikowały fragmenty rozpacznej niewoli poszczegulnyh iednostek.

Cały obuz otoczony był wysokim płotem z drutu kolczastego i podlegał stałej uzbroionej straży. To niekonstytucyjne ograniczenie swobud obywatelskih zmiejsca nie spodobało się tszem naszym sierżantom, ktuży iuż pierwszej nocy pszedostali się poza obręb niekulturalnego ogrodzenia ale niedyskretne reflektory i rakiety zdradziły nieostrożnyh śmiałkuw i wszyscy tszej padli od gęstej salwy dostatecznie wyspecjalizowanej warty.

Zaczęły się dni ponurej niewoli, tymboleśniejszej że pszecież nie wszystkim ona dogadzała. Pomiiaiąc skandaliczność wiktu, polegaiącego na codziennej zupie z wody lekko zasypanej krupami i zabarwionej krwią zwieżęcą, zmiecioną razem z piaskiem z posadzki żeźni miejskiej, tszeba było bezradnie patszeć na okropną sytuację naszyh oddziałuw, nie posiadaiącyh bielizny, mydła, tytuniu i żadnej wiadomości z kraiu. Podtszymuiąc duha wiernie oddanyh mi zuhuw moih, nie mogłem sam nie załamać się, kiedy naraz usłyszeliśmy zza drutuw żywe poruszenie wśrud warty.

podaiącej sobie świeżo otszymane gazety z widnieiącymi zdala grubymi napisami: „Warschau besetzt! Warschau genommen!“*)

— Nieprawda! — żuciłem swemu oddziałowi i wyszedłem, by patszący we mnie iak w Boga podkomendni nie dostszegli cisnącyh się łez do oczu i nie poięli że iestem tylko człowiekiem.

— Czyżby, Panie Komendancie, Warszawa mogła być wzięta? — usłyszałem poza sobą nieśmiałe zapytanie pszodownika Kiewlicza.

— Nieprawda! — powtużyłem. — Pujdźno dalej ze mną! — Skierowałem się w najdalszy kąt podwurka a obejżawszy się wokoło. mocno uiąłem za rękę Kiewlicza i patsząc mu prosto w otwarte źrenice, spytałem:

— Kiewliczu, tyś litwin, ale czy ieszcze kohasz tę ginącą Polskę. iak żeś ią dotąd zawsze mocno kohał?

— Koham!... ia dla Niej... życie i... wszystko bym oddał — a struga łez sznurem grubyh pereł zsunęła się po granatowym munduże dobże znanego mi służbisty.

— Weź te pieniądze, iest to cała reszta skarbowyh zasobuw. iakie udało mi się zahować na ostatnią hwilę. Rozdawaj ie ludziom iak można najoszczędniej; ia dziś w nocy uciekam pszez Ren do Francji a stamtąd do Polski: tam pszydam się ieszcze; dłużej tu nie mogę...

— Rozkaz Komendancie ale i ia nie zniosę, by mnie tam nie stało... i ia hcę ginąć, ieśli tak być musi. Panie Komendancie. pozwul... i ia z Tobą...

— Nie można oddziału zostawić bez głowy...

— Pszodownik Pawełek nie skszywdzi nikogo.

— Dobże! idziemy razem na śmierć czy na życie, tylko... taiemnica! Oddasz te pieniądze Pawełkowi a w nocy po dwunastej czekaj mnie tu. w tym miejscu.

— Rozkaz! — ucieszony pobiegł do oddziału.

* * *

Zapaliłem papierosa, by podniecone nerwy nie pszyćmiły pamięci. bym nie pszeoczył czegoś. co do mnie należało.

---

*) — Warszawa wzięta!

— Aha! wszak tszeba zgłosić hoćby poufnie pułk. Rodziewiczowi że dziś opuszczam obuz że na własne ryzyko prubuię ucieczki. bo wszak... Warszawa się krwawi i tu siedzieć gżeszno...

Oj. niepodobieństwo... on mi nie pozwoli, gożej... on... on... ostszeże warty!... Tak, on upszedzi warty a czasu niewiele...

* *
*

Myśl ucieczki trawiła mnie iuż dawniej, dlatego też odkupywałem gdzie się dało poszczegulne części garderoby cywilnej i ku zadowoleniu memu stwierdziłem że mam iuż prawie dwa komplety.

— Doskonale — pomyślałem — ubiorę i Kiewlicza. Ucieczka moia była o tyle trudną że będąc dość wysokiego wzrostu nosiłem nadto uniformowy mundur i płaszcz z pszepisowym czerwonym kołnieżem a warta. mniemaiąc że czerwony kołnież iest oznaką generalską tymbardziej mnie śledziła. nazywaiąc Nikola Nikolaiewiczem.

Nie dzieląc się z nikim moimi zamieżeniami. ułożyłem w walizkę trohę suhego prowjantu. zapakowałem ruwnież stos kasowyh dokumentuw. kturyh nie mogłem do kraiu nie pszywieźć i w zakłopotaniu stwierdziłem że iednak waliza moia waży pszeszło 60 kg a nadto nienależycie dopasowane cywilne krutkie obuwie okazało się za krutkie oraz za ciasne, ocierało mi nogi lecz trudna iuż rada. Czas nagli. Nadomiar złego deszcz lunął iak z cebra. Zdradliwe rakiety świetlne coraz częściej rozdzieraią mrok nocy. Ktoś tam urąga zpod kołdry że w nocy spać należy, nie gżebać w walizce. Wziąłem ią pszeto pod pahę, w drugą rękę — zwuj zbywaiącego ubrania dla Kiewlicza i wyszedłem z baraku.

Na zapodanym miejscu Kiewlicz iuż oczekiwał. Pszylegliśmy obaj. Bez słowa zmienił garderobę, poczym podpełzliśmy do drutuw. Okazały się zbyt wysokie, aby z ciężką walizką pszesadzić ie pocihu. Bżęczą. dzwonią. skszypią a waha, co sto krokuw, hodzi z tamtej strony.

— Rakieta. padnij! — szepnąłem. Duh nam zamarł w ciele. Iasno iak na dłoni widzimy wszystkie warty: w kapturah łby maią.

Zgasła.

— Kiewlicz, ruszaj do baraku. wyważ dżwi. pszynieś ie tu zaraz a na rakietę nie zapomnij padnąć.

— Rozumiem. rozkaz!

Za hwilę po suhyh dźwiah, Kiewlicz pierwszy pszesadził pszeszkodę, żuciłem mu walizę — złapał; skoczyłem i ia też... dawaj. Boże, nogi! Wpadliśmy w kartofle, dalej w ścierń, w łąki...

— Padnij, znuw rakieta... druga, tszecia, czwarta! do rowu i napszud! Po hyżej godzinie byliśmy iuż w mieście.

— Szupo*) na ulicy! — trąciłem Kiewlicza. — Dwożec — punkt zborny, ty wprawo, ia wlewo. — Rozeszliśmy się.

Błądziłem po kszywyh bocznyh uliczkah, szukaiąc stacji. Spytać niema kogo, wyszedłem aż w las. Z wzguża dostszegłem koncentrację świateł — hyba to stacja. Poszedłem. Po okrążeniu ieszcze kilku szupo, ledwie dotarłem na podjazd dworca z moią ciężką walizą i pokancerowanymi nogami. Żuciłem okiem na rozkład iazdy i zaraz wykupiłem bilet II kl. do Kolonji. Pszez okno widzę ostrożnie zbliżaiącego się Kiewlicza.

— Nabyłem iuż bilet do Kolonji, masz tu stumarkuwkę, idź do kasy i powiedz: „Bitte Köln, dritte Klasse" — za godzinę odhodzi nasz pociąg.

Szczęśliwie wyszliśmy puźniej na peron, by nie wpadać w oczy pszyglądaiącej się nam służbie koleiowej oraz innym natrętnym obserwatorom. Hodzimy tam i zpowrotem, lekceważąc nieiako wszystkih i wszystko. Zmęczeni postawiliśmy walizę pod ścianę.

Zauważywszy pewnego gościa z faieczką, wyiątkowo pilnie i od dłuższego czasu śledzącego nas, odwruciłem się odeń plecami i w skupieniu począłem odczytywać wiszące na ścianie iakieś stare ogłoszenie — bekanntmachung. Kiewlicz roztropnie i poważnie pszehadzał się dalej w pobliżu naszej dużej a może nawet i podejżanie wyglądaiącej walizy. Intuicyjnie panuiąc nad sytuacją, czuię naraz poza sobą i słyszę dokładnie, iak obserwuiący nas taiemniczy gość ten podszedł do Kiewlicza a okazuiąc mu swoią legitymację, oznajmił w iezyku niemieckim:

— To iest moia legitymacja, zehce mi pan pszeto odpowiedzieć: kto pan iest, skąd iest, dokąd pan iedzie i co pan wiezie?

— Masz djable kaftan! — westhnąłem — i nie obracaiąc się słyszę dalej, iak Kiewlicz, znaiący zaledwie kilka słuw po niemiecku, odpowiada mu w iezyku polskim:

— Nie wiem, o co panu hodzi — oto iest muj pan, prosze się doń zwrucić.

---

*) Niem. — policja

— Ieszcze lepiej — mruknąłem — iednak nie odwracaiąc się wcale, udaię że nic mię nie itneresuie tamta rozmowa, względnie, że iej nawet nie słyszę. Dopiero gdy gość z faieczką podszedł bliżej a okazuiąc legitymację, ponownie powtużył mi teżsame cztery pytania, powoli odwruciłem się doń, spokojnie spcjżałem, zdjąłem swoie duże amerykańskie modne okulary, pszetarłem husteczką szkła, znuw ie założyłem, ieszcze spokojniej pszyjżałem się mu, iakgdyby wyrażaiąc zdziwienie że wogule w iakiejkolwiekbądź sprawie mogłem być tutaj zainterpelowany i flegmatycznie, cedząc słowo za słowem, wyiaśniam:

— Ihre Legitimation? ich habe auch. Wspieram się mocniej iedną ręką na lasce, pszehylam się niemrawie a drugą wyciągam z prawej dolnej kieszeni miast legitymacji grubą srebrną okazałą papierośnicę.· Zapalam papierosa, z niepowszednim tszaskiem zamykam ią, howam zpowrotem do kieszeni a nie spuszczaiąc pszez cały ten czas z oka baranieiącego intruza, lekceważąco rozważam sobie: tożto nic więcej tylko zwykły tajniak policji niemieckiej, takisam, iakih ia mam u siebie w powiecie kilkunastu i ia, oficer policji, będę pszed takim lihotą okazywał zakłopotanie? nieh on się mnie boi!

— Aber — pytam — na iakiej podstawie pan mnie indaguie?.. iestem tu pszypadkowo wprawdzie, w pszeieździe do Paryża ale iako pszedstawiciel żądu polskiego nie pozwolę robić z sobą żadnyh demonstracyj nawet dyplomatycznyh, zrozumiał pan? Sofort abtreten!*)

Stanowczym i poważnym tonem moim niemiaszek został najwidoczniej zaskoczony, bo wyiął z pyska fajkę, spuścił ku dołowi łapy a dotknięty kategorycznym „sofort abtreten!" z niemą wściekłością zmierzył mnie mściwym wzrokiem i pobiegł do gabinetu dyżurnego ruhu, celem, iak wywnioskowałem, skomunikowania się z władzą wyższą i uzyskania iej dyrektyw. Widzieliśmy z Kiewliczem pszez okno, iak wziął mikrofon do ręki a ia na to tylko i czekałem... za walizkę, na tor, między pociągi, pod wagony, kierunek Bohum i... napszud!

Po zwrotnicah, podkładah i ostryh kamieniah biec w ciasnym obuwiu okazało mi się niemożliwością. Kiewlicz hciał mnie nieść dalej ale całkiem opadłem z sił, zeszliśmy pszeto w stronę, usiadłem, by zdjąć kamaszki, gdy słyszę szum goniącej nas drezyny.

*) — Odejść natyhmiast!

Dzięki ciemnej iesiennej nocy pszywarliśmy do ziemi, drezyna poszybowała dalej. Skręciliśmy na zwykłą szosę i pod małym mostkiem, dokąd z trudem można się było wśliznąć, postanowiliśmy spożyć naszą iście polową rację i odpocząć, bowiem wszystkie pobliskie lasy, wskutek żędowej hodowli dżew i dalekiej pszejżystości terenu, nie dawały nam żadnej gwarancji skutecznego zaszycia się na dzień. Nazaiutsz z nastaniem zmroku ruszyliśmy dalej, uważnie omiiaiąc większe osiedla, miasta i stacje koleiowe, aż mimowoli wleźliśmy na iakąś małą stacyjkę, na kturą wślad za nami nadhodził pociąg osobowy. Ponieważ na bocznej tabliczce wyczytałem „Köln“, pszeto zdwoiliśmy ruhy, szybko, niby spuźnieni pasażerowie, pszeskoczyliśmy pszez korytaże dworca i ledwie zdążyliśmy wskoczyć do ruszaiącego iuż pociągu. Ia z walizą do klasy II, Kiewlicz do III.

Iedziemy.

W moim pszedziale siedzi pięciu rozpasłyh niemcuw, namiętnie rozprawiaiącyh na temat nieprawości całego świata w stosunku do pokszywdzonyh pszez traktaty pokoiowe Niemiec. Ulokowałem walizkę, siadłem pszy oknie, zapaliłem papierosa, podniosłem kołnież a udaiąc niewyspanego, pszehyliłem głowę, wsunąłem się w kąt i czekam, co dalej będzie. Kontroluiący konduktor długo miętosił w ręku muj bilet, aż wreszcie uznał go za ważny i iadę ia dalej. Politykuiący niemcy, żucaiąc od czasu do czasu na mnie badawcze spojżenia, redukowali grubjańskie epitety pod adresem ententy, krępuiąc się obecnością nieznanego im świadka. Czułem, iak każdy z nih składał się do nawiązania rozmowy ze mną, aby po akcencie wywnioskować z kim maią pszyiemność razem podrużować. Oczywiście że zaspokoienie ih ciekawości nie byłoby mi na rękę, pszeto w dalszym ciągu udawałem dżemiącego a na prośbę najbliższego sąsiada o zezwolenie pszypalenia papierosa, niemym ruhem wyciągnąłem ku niemu rękę, nic nie odpowiadaiąc na wdzięczne pohylenie głowy i pszeciągłe „danke schön“. Wkrutce znuw zostałem zainterpelowany, czy nie wiadomo mi do iakiej stacji doieżdżamy. Krutka niedbała odpowiedź: „Je n'ai sais pas, messieurs“ uwolniła mię od ih dalszego natręctwa.

— Franzose — z lekceważącą pogardą bąknął ieden z nih i skierował rozmowę na tory tehniczno - gospodarcze w odniesieniu do nowej konstrukcji budowy mostuw. Najwidoczniej byli to inżynierowie i obywatele ziemscy.

Zadowolony ze swego manewru, odwruciłem się bliżej do okna i napozur bez większego zainteresowania, iakgdyby bezmyślnie, patszyłem na szybko miiane okolice zagłębia węglowego.

W czasie pięciominutowego postoiu na iednej z większyh stacyj, nieopisaną grozą pszeiął mnie następuiący widok: oto pośrud tłumu, mocno upstszonego użędowymi czapkami i mundurami, widzę dwuh niemcuw, prowadzącyh pośrodku siebie Kiewlicza. Wszyscy tszej bez kapeluszy, sprawiaią wrażenie mocno iuż podpityh.

— Cużby to być mogło? — zastanawiałem się mocno. — Czyżby Kiewlicz na tyle był nieroztropny że w pociągu zalał się z nieznaiomymi?... i w dodatku wyhodził w takim stanie na peron?

Ścierpłem nadto, gdy widzę dalej, iak ci dwaj niemcy ciągną Kiewlicza do stoiącyh w pobliżu policjantuw a on, rozmahuiąc rękami, ociąga się, muwi im coś do uha i wreszcie pociąga ih za sobą do bufetu klasy III, gdzie najwyraźniej widzę że znuw zaczęli pić iedną za drugą kolejkę.

— Głupiec! — zakląłem — oszalał czy co? zostanie tutaj a iuż najpewniej wsypie się, nie znaiąc ięzyka i mnie ieszcze po piianemu wsypie... źle iest!

Wtym pociąg rusza a cała mocno iuż zalana trujka, tyłem do peronu, wyhyla nową kolejkę gościnnie ponaglana po temu pszez moiego Kiewlicza, ktury iednak, dostszegłszy odjazd pociągu, daie ręką znak nalania dalszej kolejki, żuca większy banknot na bufet, wybiega na peron i ledwie, ledwie zdąża wskoczyć na stopnie ostatniego wagonu. Widziałem ieszcze, iak i ci dwaj pozostali w bufecie, zorjentowawszy się, wyskoczyli, by dogonić daleko iuż znajduiący się pociąg. Wyglądaiąca z okien wagonuw publiczność parskała ze śmiehu, gdy ululani, iak bele zataczaiący sie niemcy kiwali rękami, by pociąg zatszymać. Dwaj policjanci wzięli ih za gestykuluiące ręce i nie słuhaiąc nawet, co oni tam bredzą, wyprowadzili z peronu.

Nie ohłonąłem ieszcze z tego wszystkiego, gdy po minięciu kilku stacyj stanęliśmy w Düsseldorfie, gdzie... o zgrozo.. pszed wjazdem do strefy okupacyjnej odbywa się w pociągu surowa kontrola paszportuw a pszecież ani ia ani Kiewlicz nie mamy tej tszeciej integralnej części naszego człowieczeństwa. Ieszcze w Minden słyszałem o niemożliwości uniknięcia owej kontroli i to

tymgorszej że polega ona na sprawdzaniu nie tyle paszportu, ile specjalnego zezwolenia mieszanej komisji niemiecko-aljanckiej. Uzyskanie dla nas takiego zezwolenia było oczywiście wykluczone.

Nagle, otwieraią się dżwi i do pszedziału wpada żandarm niemiecki łącznie z angielskim, żądaiąc głośno:

— Pas, pas!

Widząc że moi sąsiedzi szybko wyjmuią z portfeli długie białe blankiety z markami stemplowymi i z fotografją, zrywam się i ia. Wskakuię na siedzenie, otwieram walizkę, pszeżucam tam cały stos rahunkuw a wyrwawszy z pliku ieden z nih, formatem i drukiem najbardziej zbliżony i ostemplowany, pszycisnąłem doń palcem podwinętą szarą pocztuwkę, przedstawiaiącą posąg iakiejś greckiej bogini i zamaszystym ruhem okazałem im zdala „dokument“. Władza, widząc ile miałem trudności z wyszukiwaniem paszportu a maiąc w stosunkowo krutkim czasie do skontrolowania ieszcze kilka wagonuw, nie fatygowała się więcej lecz skinieniem głowy uznała wylegitymowanie się moie za dostateczne i poszła dalej.

— O zbawcza bezczelności! — stęknąłem z ulgą — oby tylko nie wrucili! — Włożyłem rahunek na dawne miejsce. zamknąłem walizkę i zadowolony odethnąłem.

Wysiadaiąc w Kolonji, staię w ogonku i z pszerażeniem stwierdzam że znuw wszyscy pasażerowie okazywać muszą pszy wejściu na dwożec teżsame zezwolenia. Wszyscy pszedemną i za mną znuw ie tszymaią w ręku a żandarm bieże, sprawdza. oddaie i wuwczas tylko pszepuszcza pasażera.

— Skaranie Boskie! — myślę z pasją — ale iuż nie mogę nawet wyjść z kolejki, bo zwruciłoby to uwagę innyh obserwuiących żandarmuw.

Zaaferowany, pszygnębiony, z nad wyraz zbolałą i napuł iuż głupią miną, posuwam się dalej, gdy głośne: „Pas!“ tak zelektryzowało mię że aż podskoczyłem iak epileptyk. Hciałem udać głuhego ale bystry nerw dalekiej podświadomości momentalnie zmienił mię znuw w flegmatycznego anglika. Stawiam pszed sobą walizkę, rozpinam wolno wszystkie sześć guzikuw paltota, pułkożuszek, puźniej dwa guziki marynarki, pulover, następnie kamizelkę; wkładam tam rękę głęboko do bocznej wewnętsznej kieszeni, z trudem wyjmuię gruby pakiet i nie zwracaiąc wcale uwagi na niecierpliwiącą się ztyłu publiczność, zaczynam znuw

spokojnie rozwiiać tę paczkę z iednej gazety, drugiej, gdy gwałtownym naciskiem wytrąconyh z cierpliwości następcuw zostaliśmy obaj z żandarmem tak mocno phnięci że ia z walizką, odżucony iak z procy na iakieś pięć metruw, runąłem na ziemię. Biedny żandarm ledwie wstszymał napur a hwyciwszy kogoś za gardło, kszyczał dalej: „Pas, pas!“

Zmieszawszy się z tłumem, ujżałem obok siebie Kiewlicza, ktury iak Sancho Don Kichota, piąty za mną, szczęśliwie pszeskoczył ten szlaban śmierci. On to właśnie tak zręcznie pophnął całą pszed nim denerwuiącą się czwurkę. Hwycił mą walizkę i nie rozmawiaiąc z sobą, wyszliśmy na podjazd, gdzie wskoczyłem do pierwszej taksuwki, wskazuiąc Kiewliczowi miejsce pszy szoferze:

— Polnische Konsulat! — zleciłem.

Po kilkunastu minutah auto zatszymało się pszed dużą kamienicą a na błyszczącej iak złoto mosiężnej tablicy widniał, o iakżeż miły nam, napis: „Konsulat Rzeczypospolitej Polskiej“. Dałem szoferowi pięć marek, nie pszyjmuiąc reszty a gdy odjehał:

— Iesteśmy w domu! — żekłem do Kiewlicza. Rozpromieniony aż drżał z radości ale nie mogąc mu darować moih ciężkih pszeżyć —

— Iak mogłeś — pytam — wyhodzić tam z tymi draniami na wudkę? zgubiłbyś był wszystko.

— O, panie komendancie, co ia z nimi miałem?!!... ratunku nie było. Gdy wskoczyłem do pociągu, w pszedziale tym oni obaj siedzieli iuż dobże podpici a ujżawszy moie długie buty, pszyczepili się do mnie że tak dobże uszyte obuwie noszą tylko w Polsce że ia zatem iestem polakiem że niehybnie iestem także szpiegiem i że oni muszą mnie oddać w ręce żandarmerji. Istotnie na iednej z większyh stacyj, ujżawszy dwu szupo, kategorycznie zażądali, bym z nimi wyszedł, celem wylegitymowania się. Musiałem iść lecz po drodze doradzałem że pszedtem dobżeby było mahnąć po iednemu a że mieli w czubie, więc otszząsnąwszy się, uiąłem ih mocno za ręce i według prawideł dżiu-itsu poprowadziłem do bufetu, gdzie zażądałem odrazu tszy większe koniaki. By nie dać im tam pszyjść do słowa, kazałem dawać iedną za drugą kolejkę aż pociąg ruszył, wuwczas odwruciłem ih w pszeciwną stronę, żuciłem dwadzieścia marek, zleciłem im pszyiąć resztę, sam zaś zdążyłem ieszcze wskoczyć do ostatniego wagonu. Gdy wy-

biegli, zatszymali ih ci dwaj szupo a piiane szwaby zaczęły się z nimi szamotać, więc policja za mordę i na odwah.

— Zuh iesteś Kiewlicz, dziarsko się spisałeś a iak wylazłeś z Düsseldorfu?

— Skoro zauważyłem pszez okno że taka plajta mi grozi, to zaraz zszedłem na drugą stronę pociągu i niby miejscowy koleiaż zacząłem oczyszczać pakułami oliwiarkę na osi, zawsze tyłem odwracaiąc się do wszystkiego i wszystkih.

— Brawo! ślicznie zdałeś egzamina lecz teraz w konsulacie i aż do Paryża udawaj niemowę, bo boię się, abyś gdzieś czegoś nie naplutł. Rozumiesz, tu ieszcze teren niemiecki i nie możemy naszą obecnością narazić konsulatu na djabeł wie iakie komplikacje.

— To ia odtąd iestem iuż niemowa?

— Tak, niemowa.

— I głuhy?

— I głuhy.

— Rozkaz! panie komendancie.

W kancelarji oświadczyłem sekretażowi że pszywieźliśmy tajną korespondencję z Warszawy, kturą możemy wręczyć tylko bezpośrednio p. konsulowi. Poczciwina wieżyć nie hciał, to znuw za boki się łapał ze śmiehu, gratulował a widząc moie pszemęczenie, wezwał zaufanego użędnika i polecił mu oddać nam do dyspozycji pokuj gościnny dla kurjeruw. Pszed odejściem na spoczynek upszejmy konsul ieszcze raz gratulował i to tymbardziej że z generalnego konsulatu w Berlinie miał iuż wiadomość, iakoby zbiegli z obozu koncentracyjnego dla ieńcuw woiennyh w Minden oficer policji Kaspszycki i sierżant Kiewlicz zostali zabici pszez ścigaiącą ih wartę. Wiadomość tę oficjalnie podały władze niemieckie, aby odstraszyć innyh ieńcuw od podobnyh pszedsięwzięć.

Na drugi dzień obaj z Kiewliczem wieźliśmy iuż pocztę dyplomatyczną pszez graniczny Forbah do Metzu a tam generał francuski, dowudca twierdzy, wystawił nam tymczasowe legitymacje, dał wojskowy bezpłatny bilet II kl. na kurjer do Paryża i pszy pożegnaniu, mocno ściskaiąc nam ręce, kilkakrotnie powtażał:

— Braves, braves polonais i Warszawa wasza też dzielnie się broni...

— O Iezu, iedźmy! — wyrwał się Kiewlicz, zapominaiąc że aż do Paryża ma być głuhoniemy. Wsypa ta nie była tu iuż zbytnio straszna. Serdecznie dziękuiąc generałowi, odiehaliśmy na dwożec.

W bardzo pszepełnionym kurjeże z zadowoleniem dostszegłem ieden iedyny pszedział, gdzie tylko dwie osoby siedziały — pan i pani. Upewniwszy się że nie iest to pszedział zarezerwowany wyłącznie do ih dyspozycji, zaięliśmy dalsze wolne miejsca i zaraz zrozumieliśmy, gdzie iest pies zaryty.

Kupiec ze Lwowiu, uciekaiący pszed poborem wojskowym do Paryża pan Aron Rozenkranz strasznie śmierdział czosnkiem a małżonka iego, otyła Ryfka, wszystko co żyie dobićby mogła swym cuhnącym potem z nug, pahwin i wogule. Tszeba było i nam szukać innego pszedziału.

— Ciemu państwo wihodzą? — wyraził zdziwienie pan Aron — nie macie bilety od drugiej klasu czi co? nikt was stąd nie wiżuci. Daleko państwo iadą?

— Paryż — odpowiedziałem suho.

— Zapewne też pszed wojskiem — szepnął do Ryfki p. Aron. — Czi panowie hcecie tam iaki interes zakładać? macie pieniądzy? moia Rifka we włosah psiewiozła tszi tysięcy dolary.

— Eh nie, nikogo tam ze znaiomyh nie mamy, nawet ięzyk francuski nie iest nam dostatecznie znany.

— Nu, poco znaiomyh? ięzika też nie potszebuiecie znać. mi go też nie znami.

— Iakżeż bez ięzyka dacie sobie państwo radę?

— Oh wa, wielki kłopot. W żidowskie gazete stoiało. co w Pariziu wsistko można zrobić bez francuskiego ięzika. Zbłądzić nie dadzą, wistarczi umieć po francusku tilko tszi słowy — nieh sobi ie państwo zapiszą. iak mi z Rifką sobi zapisali: „Że sjuji polone“. Iak pan to powi komu w Pariziu, to un od panu nie odejdzie. un i fjakra zawoła. żeczi panu włożi i kłaniać się będzie, dopuki un panu widzi.

— Możliwe ale musimy pszejść hoćby do tszeciej klasy. bo... coś głowa zaczyna nas boleć, dowidzenia państwu!

— Że też pan komendant nie dał temu parszywcowi w gębę — muwi do mnie na korytażu Kiewlicz.

— Nie mogę na francuskiej ziemi pozbawiać francuz: rytorjalnie im pszynależnyh uprawnień: zresztą żydziudze temu w Paryżu napewno zaświecą latarnie.

Dalszy czas podruży spłynął nam na rozważaniah, co tam pod Warszawą?

Ambasada nasza skierowała nas do polskiej misji wojskowej w Cherbourgu, kturej pszydaliśmy się pszy odtransportowywaniu koni, zakupionyh we Francji dla polskiej kawalerji. Załadowawszy kilkaset trakenuw na brazylijski okręt „Guaratuba", odpłynęliśmy do Gdańska. Po tygodniu bużliwej podruży statek zażucił kotwicę w porcie wolnego miasta.

Skoro tylko władze polskie pszeięły ładunek, obaj z Kiewliczem pierwszym kurjerem wracaliśmy do tryumfuiącej iuż Warszawy, do zwycięskiej Ojczyzny, do Wielkiej Mocarstwowej Polski, bowiem iuż bez nas rozbity na łeb i na szyię wrug sromotnie uciekał. nie wiedząc, gdzie iest iego meta, gdzie shron, gdzie ratunek. Jednym them łapaliśmy zewsząd szczeguły zwycięstwa, tak drogo okupionego bohaterstwem Narodu i Armji, tragedją najbliższego nam 41-go Suwalskiego pułku piehoty, w kturym ofiarnie legło tylu pszyiaciuł i znaiomyh.

Sumuiąc wawżyny innyh, nie śmieliśmy obaj z Kiewliczem wzaiemnie spojżeć sobie w oczy... wszak oni hlubnie spełnili swuj obowiązek, oni są twurcami hwały wielkiej, nie my spuźnieni i nie ci tam... w Minden.

* * *

W dobryh kilka tygodni puźniej z paradą powruciła do kraiu i reszta woiakuw mindeńskich. naturalnie z pułkownikiem Rodziewiczem na czele. Szczyciła się szarża że rodacy z Westfalji dali im puźniej odzież i wikt polepszyli.

Pułkownik złożył meldunek o poprawnej dyscyplinie w obozie wszystkih podkomendnyh z wyiątkiem kilku, co ot... nie słuhali... uciekli... łobuzy!

Cuż na to władze?

— Hm... władze... pono zrehabilitowały wszystkih.

— Co to iest. panie komendancie, rehabilitacja? — zapytał mnie Kiewlicz. gdy i iego do niej wezwano.

— Rehabilitacja — wyiaśniłem — iest to sztabowa procedura. restutuuiąca w prawah i honoże tyh wszystkih. ktuży miast do ataku poszli do niewoli.

— Iakto? — zdumiał się Kiewlicz — więc i panowie pułkownicy z „komandirem“ Rodziewiczem też maią być rehabilitowani?

— Nie maią być a iuż napewno są. Teraz na nas kolej.

— Biedna ta Polska! — smutnie kiwał głową Kiewlicz. — Nie mogę zrozumieć, aby nikt nie wisiał za tak haniebne skompromitowanie nas i 2000 żołnieży.

— Ciebie o zdanie pytać nie będą a gadaj więcej, to cię ieszcze tu Rodziewicz do paki wsadzi za zgwałcenie w Minden nakazuw wahy niemieckiej.

Kiewlicz zamilkł.

Iakoś zrehabilitowano i mnie i cały muj policyjny oddział.

* * *

Niedawno otszymałem list od Kiewlicza:

Lejpuny, p. Rudziszki, 18. IV 1931 r.

...Komendancie!

Nie ośmielałem się pisać. Pszyciśnięty ostatecznością muszę.

Po wyjściu z pod Pańskiej komendy, zostałem dwa razy koło Sejn ciężko ranny. Kule pszeszyły mi nawylot piersi. Ponieważ pszewidywany był wypad szaulisuw, pszedwcześnie wstałem z szpitala i zalegaiąc na czatah, nabawiłem się zapalenia płuc. Nadomiar złego zjehała inspekcja. Kontroluiąc muj posterunek zakwestjonowała brakuiący worek mąki, odbity pszez nas szmuglerom, wywożącym na Litwę wbrew pszepisom aprowizacyjnym artykuły pierwszej potszeby. Wiadomo Panu Komendantowi że graniczne posterunki mieściły się wuwczas w hatah i komorah wieśniakuw. Mąkę tę, zanim doczekała się powiatowej decyzji, rozniosły szczury, mnie zaś zażucono że nie mam na to... dowodu, więc ią spszeniewieżyłem...

Panie Komendancie — worek mąki!

Ponieważ nadto niedopisywało mi zdrowie, szybko pszeto wydalono mnie ze służby. Wyżucono iak psa bez żadnyh praw i odszkodowań.

W poszukiwaniu hleba, dzięki protekcji pewnego drużnika, udało mi się dostać dwa — tszy razy w tygodniu po kilka godzin pracy pszy kopaniu rowuw wzdłuż koleiowego toru. Zarabiam 7—9 złotyh tygodniowo. Muszę się za to leczyć i żywić żonę z małym synkiem. Troie nas i horoba czwarta...

Panie Komendancie! nie mogę pisać więcej, łzy zalewaią mi papier...

Zawsze Wasz Kiewlicz.

Na list ten miast odpowiedzi, odwrotnie wysłałem (nie wymawiaiąc Bogu, ludziom ni b. podkomendnemu) kilkadziesiąt złotyh — posłałbym był więcej lecz kto dziś ma wolne grosze?

Pszy najbliższej możności wyszlę iednak, bo tak mi nakazuie godność zwieżhnika, kturą kiedyś piastowałem.

Atoli...

Kto weźmie mi za złe, ieśli z tego miejsca zaapeluię do Pana Głuwnego Komendanta Policji Państwowej Pułkownika Iagrym-Maleszewskiego, kturego niezmiernie cenią wszyscy Iego granatowi żołnieże, iako całkowicie oddanego im i ih ciężkiej służbie Dowudcę?

Kto weźmie mi za złe, ieśli poproszę o poddanie rewizji sprawy zwolnienia z szereguw P. P. obywatela Polski, pszodownika-, litwina, dwa razy ciężko rannego w służbie państwowej na pograniczu litewskim pszez zakordonowe bandy... litewskie, podkreślam — litewskie.

Panie Komendancie Głuwny!

Nie wieżę, by Kiewlicz zdruw czy hory nie mugł być pożyteczny Państwu: nie wieżę, by go dyskwalifikowały iakiekolwiek zażuty i nie wieżę, by zwolnienie iego nastąpiło za wiedzą i akceptacją Pańską.

Ty, Panie Komendancie, też iesteś ranny w brawurowej szarży pod Rokitną i nie pozwoliłbyś, by tyh, co dali krew Ojczyźnie usuwać dla tyh, co może niedawno ieszcze krew tę iako carskie czy cesarsko-krulewskie hjeny hłeptały.

Ty nie znasz Kiewlicza. Ty nie wiesz że on z kilku granatami w ręku sam ieden odżucał całe bandy szaulisuw. Ty nie

wiesz że za iego głowę żąd litewski maiątki ziemskie dawał. Ty nie wiesz, bo Twoim kancelarjom takiego zaświadczenia Smetony Kiewlicz, hoćby mugł — nie pszedstawi.

Wieżę natomiast mocno że Ty z krwawyh akt skszywdzonego pszodownika wybieżesz perły iego bohaterskih zasług, perły zasypane może plewami sztabowyh wypocin i dasz temu dzielnemu pionierowi Korpusu Policyjnego należną mu kompensatę.

# PRACE NADESŁANE.

Wincenty Skowroński.

# ŚPIESZCIE!

*Mi-se-r-e-re!... nadeszły ciężkie hude lata;*
*zatszęsły się w posadah wszystkie słupy świata;*
*głupieią stare prawa, Merkurjusz głupieie*
*i iedna tylko nędza dziś szczeże się śmieie.*
*Inaczej tsza pszestawić słońce, księżyc, ziemię —*
*nie zrobią tego staży — zrobi nowe plemię:*
*zmiecie kupki, kupeczki, zmiecie razem wszystko*
*na iedną wielką kupę, na iedno śmietnisko,*
*gdzie raz wreszcie zgniią zapszałe zwyczaie*
*ih mistsze i paiace, pany i lokaie.*
*Śpieszcie więc coryhlej, śpieszcie wszyscy młodzi*
*śmiało za Tym, co dawno Nowy Świat iuż grodzi,*
*co twoży Nową Polskę, gromi stare kucki —*
*Nasz Wielki Budowniczy, Marszałek Piłsudski!*

B. Światosławski.

# MYŚLI NOWEGO CZŁOWIEKA.

Nie będziesz wielkim, ieśli cię nim zamianuią.

Nie zrobią mnie ludzie władcą iakim iestem.

Korona moia większa niż krulestwo.

Mędżec zrozumie i głupca, głupiec mędrca — nigdy

Nie do orki sokoły, nie do lotu woły.

Niemasz durnia iak etatowy.

Dzisiejsze wyroki sądzić będzie iutro.

Straszną iest zemsta tylko ludzi małyh.

B. Światosławski.

# GENEWA.

Bezwładny lew, postszelony wilczur i ryże lisisko,
pszewiduiąc pod starość głodową śmierć bliską,
wezwali stado gęsi, osła i barana,
by nadać im braterstwo, pszyiaźń i obronę.
Osioł pierwszy z wdzięczności runął na kolana,
baran z łzami w oczah pokłonił się nisko
a wziąwszy się za skszydła gąski ucieszone
dalej pląsać rozkosznie w tę i w tamtą stronę.

— — — — — — — — —

I kto wie, iak długo, może sto a może
z tysiąc lat by nawet gęsia radość trwała
ale że ci pierwsi, łakome wielmoże,
tej gąsce, co najbliżej po chińsku gęgała
pazurkiem łeb zerwali w obiadowej poże —
pszeto mięsodajna kompanijka cała,
zdumiona tym nietaktem, prysła ku oboże,
gdzie nawet osioł też poiął, nieboże
że wkońcu i nań by kolejka nastała,
gdyby do żarcia nic więcej nie miała
ta banda zgłodniała.

# ODPOWIEDZI REDAKCJI.

**M. Cz., Wieliczka i L. R., Zbaraż:** Okazowo-propagandowyh numeruw nie wysyłamy.

**„Oświata“,** Grudziądz: — Księgarniom wydawnictwa nie wysyłamy. Należy zwrucić się do f. „Gebethner i Wolff“ lub „Dom Książki Polskiej“ w Warszawie względnie w Grudziądzu. Bracka 7, do zastępstwa czasopism p. I. Rączy.

**A. K., Lwów, C. M., Zakopane, I. L., Wilno:** Słabe nie drukujemy.

**W. S., Warszawa:** — Kompromisuw nie uznajemy.

**W. P. Kazimieżowi Śliwkowskiemu,** Prezesowi Zażądu Związku Literatuw Polskih na Kaszubah w Gdyni:

Pisała sroka do kałomoka......

# KLUB NOWYH LUDZI

KWARTALNY ORGAN POSTĘPOWCUW

ROK I. GRUDZIEŃ — LUTY 1932 R TOM 2.


# TURNIEJ LITERACKI

## Z PREMJĄ 250 ZŁOTYH

dla naszyh Prenumeratoruw za nowelę do natępnego tomu, obrazuiącą autentyczny epizod z ery wczorajszego swiata. Członkowie naszej Redakcji wykluczeni z udziału w konkursie. Iury — komitet redakcyjny. Prace zaopatszone w godło (i adres w drugiej zamkniętej kopercie) pszyjmowane będą do dnia 20. II. 1932 r.

**Następny tom ukaże się w marcu.**


**Prenumerata** rocznie z pszesyłką pocztową 6 zł, zagranicą 1 dolar.

**Ogłoszenia** 50 gr za wyraz lub kw. ctm. Wszystkie wpłaty — konto czekowe P. K. O. Nr. 170313.

**Redakcja i Administr.** czasopisma Klub Nowyh Ludzi — Gdynia, ul. Portowa.

Redaktor i Wydawca: **Edward Paweł Kaspszycki**. Redaktor odpowiedzialny — Juzef Ofiara, Gdynia, ul. Nadbrzeżna, willa „Tusia".

U w a g a: Prenumeratoruw uważamy za naszyh mężuw zaufania. Pszedstawiciele, korespondenci i kolporteży pożądani.

Zakłady Graficzne Bolesława Szczuki, Wąbrzeźno Pomorze.